

Bolesław Leśmian

„Przygody Sindbada Żeglarza”

adaptacja: Anna Rekowska

OSOBY:

Sindbad

Wuj Tarabuk

Chińczyk

Tysiąc Dziewcząt

Arkela

Barabakasentoryna

Praczka

Królewna [Piruza ,Najdroższa ,Kaskada ,Urgela ,Stella ,Chryzeida ,Błękitna ,Zielona ,Złota]

Król

Matka Degiala

Degial

Staruch

Barbel

Kapitan

Stary Marynarz

Młodzieniec

Służący

Paź

Marynarze, dworzanie, mieszczenie, masztalerze

Diabeł Morski

107/361

ZĄB PRADZIADKA

(Wuj Tarabuk siedzi przy stoliku i pisze wiersze, Sindbad znudzony układa kamyczki lub muszelki)

Wuj Tarabuk: Morze i krowa to wspaniałe słowa! Nie, nie, nie tak. (zrywa się) Krowa to ptak... Nie, nie – to się nie rymuje. (Zrywa się i wybiega, wraca ze szkatułką.) Ptak, ptak... To nie krowa....

Sindbad: Wuju, co to za szkatułka?

Tarabuk: Nie przeszkadzaj mi teraz, przecież widzisz, że wiersz układam. Morze to nie rzeka, a ptak to nie krowa... Sindbadzie, posłuchaj, jaki piękny początek wiersza! Jaki prawdziwy!

Morze to nie rzeka, a ptak to nie krowa.

Szczęśliwy, kto kocha rymowane słowa.

I co o tym myślisz drogi Sindbadzie?

Sindbad: To wspaniały początek, wuju, ale powiedz mi, proszę, co to za szkatułka.

Tarabuk: Szkatułka? A ta... To spadek. Ale o tym później, nie przerywaj mi, proszę.

Szczęśliwy, kto kocha rymowane słowa.

Rymuj mi się, rymuj, drogi mój wierszyku...

Sindbad: Ale, co jest w środku tej szkatułki?

Tarabuk: Skarb. Wielki skarb. Nie płosz mi natchnienia. Stój stoliku!

Sindbad: Wuju Tarabuku, czuję, że nie wytrzymam dłużej. Ciekawość moja jest tak wielka, że jeśli natychmiast nie dowiem się, co kryje w sobie tajemnicza szkatułka, to stracę rozum, rozchoruje się, albo sam zacznę pisać wiersze!

Tarabuk: No dobrze, już dobrze... Powiem ci, ale nie przerywaj mi więcej. Przekazuję ci tę szkatułkę w imieniu twego zmarłego ojca, który dostał ją od swego ojca. Szkatułka ta zawiera w sobie osobliwość wielką – zepsuty i szerniały ząb twego pradziadka... Przyjmij ją i czcuj. Weź ją teraz proszę i ilekroć będziesz miał czas wolny, przyglądaj się jej z szacunkiem i wyobrażaj sobie, jak ten ząb bolał niegdyś twój pradziadka. A teraz pozwól mi wrócić do mojego wiersza. (sindbad odchodzi ze szkatułką i zaczyna medytację)

Sindbad: Już prawie czuję, jak ten ząb bolał mego pradziadka. Jak próchniał i czerniał powoli, acz nieustannie. Jak całe życie nie dawał mu wytchnienia.

Tarabuk: Sindbadzie! Skończyłem! Posłuchaj!

Morze - to nie rzeka, a ptak - to nie krowa!

Szczęśliwy, kto kocha rymowane słowa!

Rymuj mi się, rymuj, drogi mój wierszyku!

Stój w miejscu cierpliwie, składany stoliku!

Stoi stolik, stoi, zachwiewa się nieco,

Za stolikiem - morze, za morzem – Bóg wie co!

Piękny wiersz! Morze – to nie rzeka, a ptak – to nie krowa. Któż zaprzeczy prawdzie tych słów! I jaki trafny koniec! Za stolikiem - morze, za morzem – Bóg wie co! Rzeczywiście, za morzem widać mgłę, a w tej mgłę dal nieznana. Jeden Bóg wie, co się w tej dali kryje. Dlatego napisałem :za morzem- Bóg wie co. Czyż nie wspaniały wiersz?

Sindbad: Tak, wuju. (Tarabuk wyczerpany aktem tworzenia powoli zasypia)

Tarabuk: Zmęczyło mnie okrutnie to pisanie, ale czuję, że jeszcze nie jeden wiersz dzisiaj napiszę. Zostaw mnie więc samego, Sindbadzie, bo jak wiesz, wielcy poeci najpiękniejsze wiersze tworzą pogrążeni w senności... w samotności... (zasypia, nadchodzi burza, wiersze wpadają do morza.)

LIST DIABŁA MORSKIEGO

Wuj Tarabuk (krzyki w czasie burzy): Moje wiersze! Wszystkie na dnie morza! Powyławiam je! Moje wie...! Powy...! Wie...! Po...!

Diabeł Morski (głos dobiega w czasie burzy): Co to za rękopisy? Nigdy

nie czytałem tak głupich, brzydkich i nieznośnych wierszy! Domyślałem się że autorem tych wierszy jest Wuj Tarabuk, który co dzień nad brzegiem morza wysiaduje przy składanym stoliku i suszy głowę nad rymami.

Ma on bardzo miłego siostrzeńca Sindbada. Skorzystam z tego srebrnego kałamarza i złotego pióra, aby napisać do niego list.

„Piszę z morza do Ciebie, kochany Sindbadzie!

Choć się burza zerwała i fala się kładzie

Na mój grzbiet i przerywa mój spokój i ciszę,

Ja – mimo burz i wichrów – list do Ciebie piszę.

Nazywają mnie ludzie Diabłem Morskim, ale –

Choć jestem Morskim, diabłem nie czuję się wcale.

Przeciwnie – jestem dobry, tkliwy, choć rubaszny,

Bo mam brzuch zbyt pękaty i pysk bardzo straszny

Ani burza najsroższa, ani złe wichrzysko

Nie męczy mnie, nie boli tak jak to przezwisko!

Trudno! Musze je nosić, choćby z tej przyczyny,

by nie zostać bez nazwy wśród morskiej głębiny!

Przysięgam Ci, że diabłem nie jestem i wolę

Pływać w morzu niż w ogniu piekielnym lub smole.

Ufam że Ci wystarczy ta moja przysięga.

Piszę ten list z powodu, iż wicher – włóczęga,

Który na brzegu przygód byle jakich szuka,

Zwiał do morza papiery Wuja Tarabuka,

Słynny srebrny kałamarz tudzież złote pióro,

Płynąłem właśnie, gnany falą i wichurą

i pod wodą papiery widząc niespodzianie

zacząłem chciwie czytać, bo lubię czytanie

a nawet wolę wiersze do zwyczajnej prozy.

Przeczytałem – i dotąd od gniewu i zgrozy

*Trzęsę się, bo doprawdy w życiu po raz pierwszy
Przeczytałem tak dużo tak okropnych wierszy!
Co za rymy bez sensu Wuj Tarabuk przędzie!
Głupstwo siedzi na głupstwie, błąd siedzi na błędzie.
Osioł pisał by lepiej, a noga stołowa
Więcej ma w sobie sensu niżli jego głowa!
(Sindbad znajduje list i zaczyna czytać, burza ucicha))
Sindbadzie! Jakże możesz żyć pod jednym dachem
Z takim głupcem nieznosnym i takim postrachem?
Jak możesz spać spokojnie w tym samym budynku,
Gdzie Tarabuk swe rymy tworzy bez spoczynku
Opuść prędzej swój pałac i pożegnaj wuja.
Czyż nie nęci Cię okręt, co po morzu buja?
Czyż nie wabi Cię podróż dziwna i daleka?
Cud nieznany w nieznanej podróży Cię czeka.
Czeka Cię bajka senna w zaklętej krainie.
I królewna stęskniona, co z urody słynie,
I skarby i przepychy i dziwy i czary!
Pędź na lotnym okręcie, przez morza obszary,
Zwiedzaj wyspy, półwyspy, lądy i przylądki,
I najdalsze zatoki, najskrytsze zakątki.
Zwalczaj wszelkie przeszkody i wszelkie zawady!
Pędź, leć, płyń bez ustanku!
Posłuchaj mej rady!
Tego Ci życzy, ukłon przesyłając dworski,
Kochający Cię szczerze – Twój druh – Diabeł Morski.*

(rozwidnia się, wchodzi Wuj Tarabuk z wędką)

Sindbad: Dzień dobry, wuju!

Tarabuk: Dzień – do...!

Sindbad (zaskoczony): Jakże się spało wujkowi tej nocy?

Tarabuk: Jak naj...

Sindbad: Widzę drogi wuju, że utrata rękopisów wpłynęła na Twoje zdrowie rujnująco.
Postarzałeś się o lat sto z górą, a poza tym nie kończysz słów, które zaczynasz.

Tarabuk: Nie ko...

Sindbad: Muszę się z wujem pożegnać. Dziś w nocy postanowiłem wyruszyć w podróż daleką. Czy wuj ma coś przeciw temu?

Tarabuk: Nie.

Sindbad: Wuju! Żegnam Cię więc na długo i życzę abyś powylawiał z morza wszystkie swoje rękopisy!

Tarabuk: Weso...! Do zo...!

(Żegnając się, Sindbad wpada na statek)

NA STATKU

Sindbad: Dokąd płyniecie?

Kapitan: W kraje dalekie i nieznane.

Sindbad: To wspaniale. Nade mną - niebo, pode mną – morze, przede mną – dal nieznana i niezbadana.

(Odpywając wyciąga list Diabła Morskiego i czyta)

Kapitan: Co czytasz, mój przyjacielu, że tak dziwnie wymachujesz przy tym rękami?

Sindbad: List Diabła Morskiego.

Kapitan: Co? Zdaje mi się żem, niedosłyszał Twojej odpowiedzi?

Sindbad: List Diabła morskiego.

Kapitan: Mówili mi nieraz moi marynarze, że Diabły Morskie umieją czytać i pisać. Nie wierzyłem dotychczas ich opowiadaniom. Byłbym Ci niezmiernie wdzięczny, gdybyś mi pozwolił ten list przeczytać, o ile ma się rozumieć nie zawiera on jakichś tajemnic osobistych.

Sindbad: Chętnie zaspokoję Twoją ciekawość. Proszę *(podaje list kapitanowi, ten go czyta, podchodzi do Starego Marynarza)*.

Kapitan: Mam w ręku list Diabła Morskiego. Ponieważ jesteś starym i wytrawnym marynarzem, więc powiedz, czy obecność takiego listu na okręcie przynosi szczęście czy nieszczęście?

Marynarz: Nieszczęście.

Kapitan: Cóż wtedy mam uczynić z tym listem?

Marynarz: Wrzuć go co prędzej do morza!

Kapitan: Sindbadzie, musisz się zgodzić na to, że Cię pozbawię tego listu.

Sindbad: Zgadzam się na to Kapitanie! Miałbym przez całe życie wyrzuty sumienia gdybym był nieświadomym sprawcą czyjegokolwiek nieszczęścia.

(wyrzucając list)

Marynarz: Bardzo mi się nie podoba, że otrzymujesz listy od Diabła Morskiego.

Gdybyś ten list zachował przy sobie zginąłbyś po kilku godzinach podróży wraz z całą załogą. Teraz, po wrzuceniu listu do morza czekają Cię przygody, nieszczęścia, niespodziane przypadki i nieprzewidziane niebezpieczeństwa.

Kapitan *(do Marynarza)*: Nie patrz tak podejrzliwie na tego młodzieńca, gdyż ręczę ci za jego niewinność. Gdyby miał jakieś złe zamiary, ukrywałby przed nami list Diabła Morskiego, a tym czasem wyznał mi z całą szczerością i prostotą, że czyta list Diabła Morskiego i powtórzył to wyznanie dwa razy z rzędu.

Sindbad: Poza tym nic nie wróży zapowiadanych nieszczęść. Pogoda jest cudowna, słońce świeci skrząc się na falach, nawet wiatr powoli ustaje... Żadna burza nie grozi naszemu okrętowi.

(Kapitan i całą załogą spoglądają w niebo niespokojni sprawdzają wiatr).

Kapitan: Nie spodziewałem się takich przeszkód i takiej zwłoki. Miałem nadzieję, że los będzie sprzyjał okrętowi. Nieszczęście to jest zbyt widoczne by o nim wątpić. Wicher ustaje, fala za falą znika i zamiera. W powietrzu zaczyna dzwonić straszna, groźna, przeraźliwa i gniewna Cisza Morska. Będziemy zmuszeni stać w miejscu dopóty, dopóki wiatr lada jaki nie przyjdzie naszemu okrętowi z pomocą. Wolę burzę niż tę ciszę morską. Z burzą można walczyć, z ciszą walka jest niemożliwa.

Marynarze: Kapitanie! Jesteśmy uratowani! Wyspa! Wyspa! Kapitanie pozwól nam zejść na ląd.

Kapitan: Dobrze, ale bądźcie ostrożni.

Sindbad: Kapitanie! Pragnę i ja zwiedzić wyspę bowiem po raz pierwszy widzę wyspę na morzu.

Kapitan: Dołącz więc do moich marynarzy.

(Schodzą na ląd, Sindbad odchodzi kawalek, wyspa zaczyna się chwiać i zanurzać).

Kapitan: Co tchu opuścić wyspę! To nie wyspa lecz grzbiet wieloryba! Cielsko jego pograża się w morzu! Utoniecie wszyscy!

(Marynarze wskakują a statek i odpływają, Sindbad w ostatniej chwili chwytą się belki i dryfują).

Sindbad: Ratunku! Na pomoc! Zaczekajcie na mnie!

(Statek odpływa. Sindbad dopływa do wyspy i wychodzi na ląd).

KOŃ MORSKI

Masztalerz I: Stój! Skąd idziesz i dokąd?

Sindbad: Idę wprost z morza, zaś dokąd idę...nie wiem.

Masztalerz: Jesteś zapewne cudzoziemcem?

Sindbad: Jestem cudzoziemcem. Nazywam się Sindbad. Uniknąłem przed chwilą śmierci, która mi cały dzień i całą noc groziła. Jeśli chcecie, opowiem Wam co się ze mną działo.

Masztalerze: Opowiedz, opowiedz! Lubimy pasjami wszelkie opowiadania.

Sindbad: Urodziłem się w Bagdadzie, rodzice moi dali mi w spadku sto pałaców, sto ogrodów...

Mastalerz II: Ale możemy słuchać Cię tylko do godziny trzeciej minut pięć. Teraz jest godzina pierwsza, masz więc dwie godziny i pięć minut czasu.

Sindbad: Wystarczy mi to najzupełniej!

(Opowiada, opowiada...słyszemy koniec opowiadania)

...i tak płynąłem dzień i noc i dzień i noc aż dotarłem do tej wyspy. A Wy kim jesteście?

Mastalerz I: Jesteśmy Mastalerzami króla Miraża, który jest władcą tej wyspy oraz wielu wysp okolicznych. Co rok dzień jeden spędzamy tutaj wraz z tysiącem królewskich koni.

Masztalerz II: Punkt trzecia. Mamy tylko pięć minut czasu!

(Ruszają w drogę)

Mastalerz I: O trzeciej minut pięć wynurza się z morza na brzeg wyspy Koń Morski i wyprawia na brzeg swe chełpliwe harce, płasy i skoki. Konie królewskie przyglądają się i mimo woli zaczynają je naśladować nabierając cudownych ruchów.

Masztalerz II: Tak, lecz Koń Morski po ukończeniu swych płasów, harców i skoków rzuca się na nasze konie, aby je pożreć! Wówczas odstrasza go krzykiem, przed którym uchodzi do morza.

Masztalerz I: Jeśli chcesz się przyjrzeć temu zjawisku schowaj się tu z nami, gdyż Koń Morski zaraz wynurzy się z wody.

(Chowają się, Koń Morski tańczy, kiedy chce pożreć konie, rzucają się z krzykiem i Koń Morski ucieka do morza)

Masztalerz I: Ruszajmy w drogę powrotną.

Masztalerz II: Jutro konie króla Miraża muszą być w stolicy.

Masztalerz I: Okazaliśmy Ci przychylność i gościnność. Nie domyślasz się nawet, że groziło Ci z naszej strony niebezpieczeństwo. Z rozkazu bowiem króla Miraża obowiązani jesteśmy zabijać każdego, ktokolwiek ośmieli się dotrzeć do brzegu wyspy, do miejsca, gdzie konie królewskie uczą się płasów od konia morskiego.

Masztalerz I: W pierwszej chwili mieliśmy zamiar zasztyletowania Ciebie lecz wzruszyło nas twoje opowiadanie. Czeka nas śmierć za naruszenie rozkazu królewskiego.

Masztalerz II: Dlatego prosimy cię o zachowanie tajemnicy naszego czynu.

Masztalerz I: Nikomu nie mów o tym co się stało.

Masztalerz II: Wejdziemy teraz sami do miasta, ty zaś zatrzymaj się pod jego murami. Stój cierpliwie i czekaj aż się oddalimy. Wówczas dopiero wejdź do miasta jako samotny wędrownik.

Sindbad (*żegnając się*): Możecie być pewni, że spełnię waszą prośbę i że tajemnice zachowam.

Masztalerz I: A gdybyś nas kiedykolwiek spotkał na ulicy udawaj, że nas nie znasz i nie witaj nas ukłonem.

NA DWORZE KRÓLA MIRAŻA

Król Miraż: Zwyczajem dorocznym wobec wszystkich poddanych wygłaszam swoją zagadkę. Kto ją odgadnie posiada rękę mojej córki, pięknej Piruzy oraz pół mego królestwa. Mam nadzieję, iż w tym roku znajdzie się rycerz domyslny, który zagadkę rozwiąże; jak dotąd przez długie lata nikt mi nie dał trafnej odpowiedzi. Słuszne więc, że córka moja jest zniecierpliwiona niedomyślnością moich poddanych. Z trzech pytań składa się zagadka tajemnicza. Na trzy więc pytania – trzech żądam odpowiedzi.

Pierwsze pytanie: Jaka pogoda pomimo pogody zwiastuje klęski, nieszczęścia i szkody ?

Drugie pytanie: Co to za tancerz, który płasza po to by pożreć innych gdy tańczą z ochotą ?

Trzecie pytanie: Kto listy pisze pośród fal powodzi i, będąc diabłem, z piekła nie pochodzi ?

Oto są trzy pytania. Czekam teraz na odpowiedź ...

(czeka chwilę na odpowiedź)

Nie mogę ułatwić Wam waszego zadania, mogę tylko dać znak moją dłonią królewską, wy zaś na ten znak zamyslcie się wszyscy razem i każdy z osobna !

(czeka chwilę na odpowiedź)

Poddani moi ! Wysłcie swój umysł, natęźcie uwagę, skupcie wszystkie moce swego rozumu aby zagadkę odgadnąć. Czyż nie martwi Was niecierpliwość pięknej Piruzy ? Czy chcecie aby się zestarzała czekając daremnie na wysiłki waszych rozumów ?

Sindbad: Królu, odgadłem twoją zagadkę. Mogę ci odpowiedzieć na trzy twoje pytania.

Król Miraż: Odpowiedz.

Sindbad: Pierwsze pytanie: Jaka pogoda pomimo pogody zwiastuje klęski, nieszczęścia i szkody ?

Cisza morska.

Król Miraż: Zgadłeś.

Sindbad: Drugie pytanie: Co to za tancerz, który płasza po to by pożreć innych gdy tańczą z ochotą ?

Koń morski.

Król Miraż: Zgadłeś.

Sindbad: Trzecie pytanie: Kto listy pisze pośród fal powodzi i, będąc diabłem, z piekła nie pochodzi ?

Diabeł morski.

Król Miraż: Zgadłeś.

Piruza: Nareszcie !

Król Miraż: Jak ci na imię ?

Sindbad: Sindbad.

Król Miraż: Sindbadzie ! Jesteś najmądrszym z ludzi ! Rozwiązałeś zagadkę, czego dotąd nikt nie potrafił. Ułożyłem ją sam, lecz łatwiej o wiele zagadkę ułożyć aniżeli odgadnąć. Pójdiesz natychmiast z nami do pałacu ! Piękna Piruza musi bowiem przyjrzeć się swojemu przyszłemu mężowi. Oboje więc będziecie spędzali czas na pogadankach. Dzień dzisiejszy przeznaczam na to abyście mogli poznać się bliżej nawzajem. Dzień jutrzejszy przeznaczam na to abyście zdążyli przyzwyczaić się do siebie. Zaś pojutrze huczne wam sprawię wesele !
(udają się do pałacu)

Siadźcie oboje, jedno na przeciwko drugiego. Patrzcie sobie prosto w oczy i zawiążcie rozmowę szczerą i poufną. W ten sposób poznacie przed ślubem swoje dusze i charaktery aby się po ślubie nie zdziwić i nie zatrwożyć różnicą tych dusz i odmiennością tych charakterów. Nie będę wam przeszkadzał w rozmowie; zostawię was sam na sam aby swoją obecnością nie krępować waszych młodzieńczych wyznań.

(Piruza i Sindbad zostają sami, siedzą naprzeciw siebie i patrzą sobie w oczy)

Piruza: Hindbadzie, ojciec kupił mi wczoraj naszyjnik perłowy, w którym mi jest bardzo do twarzy.

Sindbad: Cieszy mnie niezmiernie ta wiadomość, ale muszę zauważyć, że nie nazywam się Hindbad lecz Sindbad.

Piruza: Hindbadzie, ciekawa jestem czy lubisz kwiaty, bo ja bardzo lubię.

Sindbad: Lubię kwiaty lecz po raz wtóry muszę zauważyć, że nie nazywam się Hindbad lecz Sindbad.

Piruza: Hindbadzie ! Czy wiesz o tym, że w pobliżu naszej wyspy znajduje się inna wyspa, na której przebywa potwór Degial. Ukrywa się on przed okiem ludzkim i sam niewidzialny widzi wszystko i wszystkich dokoła. Nienawidzi ludzi, roślin i zwierząt – kocha tylko muzykę i napelnia powietrze wyspy nieustannym brzmieniem gongu. Brzmienie to oszałamia ludzi, zwierzęta a nawet rośliny. Żadne żywe stworzenie istnieć na tej wyspie nie może. Jest pusta, smutna i zasluchana jedynie w nieustanne brzmienie gongów. Można ją odwiedzać tylko samotnie a i wówczas trzeba zawiesić na szyi amulet, który strzeże przed napaścią złego Degiala. Pewien stary marynarz dał mi jeden taki amulet. Schowałam go do szkatułki aby zeń

skorzystać i odwiedzić wyspę Degiala, gdy wyjdę za mąż i stanę się samodzielną. Dotąd bowiem ojciec wzbraniał mi tej niebezpiecznej wycieczki.

Sindbad: Piruzo ! Rozciekawiało mnie niezmiernie twoje opowiadanie ! Czy udzieliłabyś mi tego amuletu abym mógł zwiedzić wyspę Degiala ?

Piruzo: Owszem, chętnie ci go udzielę, ale chyba nie zechcesz odbywać tej podróży przed ślubem ? Po ślubie wybierzemy się tam po kolei. Najpierw ty a potem ja, gdyż jak ci tłumaczyłam nie wolno tej wyspy odwiedzać razem.

Sindbad: Nie ! Nie chcę ani jednego dnia czekać na oglądanie tych cudów ! Zwłoka byłaby dla mnie nie do zniesienia ! Dzień dzisiejszy zgodnie z życzeniem króla spędzę z tobą, droga Piruzo, lecz dzień jutrzejszy poświęcę na zwiedzanie wyspy Degiala. Wrócę akurat pojutrze na nasz ślub i będę ci mógł opowiedzieć com na owej wyspie zobaczył.

(wchodzi król Miraż)

Król Miraż: Jakże się klei wasza rozmowa ? Czyście już poznali się na wzajem? I czy wam się podobają wasze dusze i charaktery ? Jest to bowiem niezbędny warunek szczęścia i zgody małżeńskiej.

Sindbad: Królu miłościwy w dniu dzisiejszym zdążyliśmy nie tylko poznać swoje charaktery lecz i przyzwyczaić się do siebie nawzajem. Dlatego też wolę dzień jutrzejszy poświęcić na oglądanie cudów na wyspie Degiala. Błagam cię więc królu o pozwolenie na tą wyprawę.

Król Miraż: Pokochałem cię tak bardzo, że niczego ci odmówić nie potrafię. Daję ci więc swoje królewskie pozwolenie na tę niebezpieczną wycieczkę. Nie zapomnij tylko zawiesić na szyi amuletu, który uchroni cię od wszelkich przypadków. Jedź i wracaj do nas jak najprędzej mój drogi Hindbadzie.

Sindbad: Dziękuję ci królu z całego serca za ustąpienie moim prośbom. Muszę jednak zauważyć, że nie nazywam się Hindbad lecz Sindbad. Dziwi mnie, że ty i twoja córka tak stale i tak jednako przekręcasz moje imię.

Król Miraż: Niech cię to nie dziwi drogi Hindbadzie, przekręcanie imion i nazwisk jest jedyną wadą rodzinną moją i mojej córki. Przekręcamy zawsze jednakowo i pod tym względem nigdy się nie mylimy. Nie zwracaj na to uwagi ani się nie urażaj. Cóż bowiem znaczy imię ? Czy nazwiemy cię tak czy owak zawsze będziesz zarówno bliski naszemu sercu.

(żegnają się)

Żegnaj, żegnaj, wracaj do nas jak najprędzej.

NA WYSPIE DEGIALA

(słychać muzykę gongów)

Sindbad: Jeśli mnie widzisz uderz mocniej w gongi.

(dźwięk gongów staje się donośniejszy)

Zjaw się lub przemów do mnie ty niewidzialny.

Degial: Nie zjawię się, bo nie znoszę wzroku ludzkiego ! Chcę na wieki pozostać dla ciebie niewidzialny. Wolę przemówić abyś słyszał me słowa, nie widząc mej twarzy. Znieważyłeś mnie zaciskając pięść i tupiąc nogą o ziemię. Zemszczę się na tobie za tą zniewagę. Mógłbym cię zabić jednym poruszeniem brwi, gdyby cię nie bronił amulet. Potrafię jednak inną zemstę wykonać. Uważasz się za człowieka niezwykłego i potężnego. Wydaje ci się, że na całym świecie nie ma nikogo, kto byłby do ciebie podobny. Ukarzę twą dumę i zarozumiałość. Z pomocą jednego skinienia dłoni stworzę człowieka jak dwie krople podobnego do ciebie.

Sindbad: Stwórz !

(pojawia się drugi Sindbad, przyglądają się sobie milcząc)

To ja ! Czy mnie nie widzisz ?

Hindbad: Widzę, ale mało mnie twoja obecność obchodzi .

Sindbad: Powiedz mi przynajmniej jak się nazywasz ?

Hindbad: Nazywam się Hindbad.

Sindbad: Hindbad ? Przecież to moje własne imię zepsute, przekrecone i skoślawione przez króla Miraża.

Hindbad: Więc coś z tego ? Wolę nosić imię, które sam król raczył skoślawić niż to, które ty nosisz nieznany cudzoziemcze.

Sindbad: Nieznany ? Mylisz się nazywając mnie nieznanym. Jutro będę królem i władcą połowy potężnego królestwa.

Hindbad: Nie ty lecz ja będę królem i władcą połowy potężnego królestwa.

Sindbad: Do widzenia, mój drogi Hindbadzie ! Spieszno mi w drogę powrotną, gdyż nie mogę spóźnić się na mój ślub z piękną Piruzą, córką króla Miraża. Nie mam czasu na pogadanki z tobą.

(Sindbad wskakuje do łodzi, Hindbad za nim i płyną razem)

Hindbad: Chcesz mnie wrzucić do morza ?

Sindbad: Chcę.

(Sindbad próbuje wyrzucić Hindbada lecz nieruchomieje)

Hindbad: Nie rozumiem czemu chcesz koniecznie się pozbyć mojej osoby ? Przecież jestem ci równy. Powinieneś mnie czcić i kochać jak siebie samego. Jestem tak samo jak ty odważny i mądry. Musisz mi przyznać, że zasługuję na to aby stać się mężem Piruzy i władcą połowy królestwa.

(płyną jakiś czas w milczeniu)

Sindbad: Czemu milczysz ?

Hindbad: A ty czemu milczysz ?

Sindbad: Milczę dlatego, że nie mam ci nic do powiedzenia.

Hindbad: I ja milczę dlatego, że nie mam ci nic do powiedzenia.

Sindbad: Czy myślisz mój panie Hindbadzie, że całą drogę będę sam wiosłował?

Hindbad: Możemy wiosłować na przemian, mój panie Sindbadzie !

(Hindbad wiosłuje, łódka przyspiesza, dobijają do brzegu, biegną na wyścigi do pałacu, Hindbad wpada pierwszy, wita się z królem i Piruzą)

WYBÓR PIRUZY

Król Miraż: Drogi Hindbadzie! Niepokoił mnie bardzo twój długi pobyt na wyspie Degiala! Bałem się, że zginiesz i nigdy cię już nie zobaczę!

Piruzą: Ja zaś byłam pewna twojej mądrości i twego męstwa. Twierdziłam bez ustanku, że Hindbad zginąć nie może!

Hindbad: Miałaś słuszość. Jestem zbyt potężny i zbyt mądry żeby zginąć w walce nawet z tak potężnym duchem jak Degial.

(wpada Sindbad)

Sindbad: Królu miłościwy! Czyż nie widzisz swej własnej pomyłki?

Król Miraż: Co to znaczy? Skąd takie podobieństwo?

w głowie mi się miesza! Zamiast jednego widzę dwóch przyszłych moich zięciów, z których wszakże jeden tylko może być prawdziwy!

Piruzą: A ja widzę dwóch moich przyszłych mężów!

Którego z nich mam dziś poślubić?

Hindbad: Mnie!

Sindbad: Milcz ty kłamco! Nie ty lecz ja jestem narzeczoną Piruzą! Królu miłościwy, strzeż się tego potwora i nie daj się opętać jego podobieństwem do mnie! Stworzył go umyślnie Degial, żeby zemścić się na mnie, za to, że go obraziłam na jego własnej wyspie. Jest to twór sztuczny i czarnoksiężski, którego Piruzą poślubić nie powinna. Przed samym pałacem zdrętwił mi nogi, abym nie mógł ciebie i Piruzą uprzedzić o tym co się stało!

Król Miraż: Jak ci na imię?

Sindbad: Sindbad.

Król miraż: A ty, jak się nazywasz?

Hindbad: Hindbad.

Król miraż: O ile mnie pamięć nie myli, mój przyszły zięć nazywał się właśnie Hindbad.

Piruzą: O, tak, Hindbad mu było na imię!

Sindbad: Królu! Piruzo! Zawsze mi było na imię Sindbad, lecz wyście to imię nieustannie przekreślali i koślawili! Przypomnijcie sobie ile razy was poprawiałem , ile razy prosiłem, abyście nie nazywali mnie Hindbadem ale Sindbadem!

Król miraż: To prawda, że ja i Piruza mamy zwyczaj przekreślania imion i nazwisk i zawsze imię przekreślone uważamy za prawdziwe a prawdziwe za przekreślone. Dlatego, naszym zdaniem młodzieniec na mego zięcia przeznaczony, nazywał się Hindbad.

Hindbad: Bardzo mi przykro, Królu miłościwy, że jestem tak podobny do tego podejrzanego cudzoziemca. Zaręczam ci jednak, że nie łączy nas nic, prócz tego przypadkowego podobieństwa. Ja bowiem należę do ludzi uczciwych, ten zaś cudzoziemiec jest nikczemnym złodziejem! Skradł mi amulet, który dostałem na drogę od pięknej Piruzy! Możesz, królu, naocznie się o tym przekonać spojrzawszy na szyję tego cudzoziemca, gdyż zawiesił sobie skradziony amulet na szyi zapominając o tym, że w ten sposób zdradza jawnie popełnioną kradzież!

Król Miraż: A złodziej!

Piruzo: A łotr!

Król Miraż: A nikczemnik!

Piruzo: A zbrodniarz!

Sindbad: Sprawiedliwości! Jestem niewinny! Nigdy dłonie moje nie pokalały się kradzieżą! Piruzo, droga Piruzo! Czyż nie przypominasz sobie, żeś własnoręcznie zawiesiła mi na szyi amulet, aby uchronić mnie od napaści Degiala! Nie uchroniłaś mnie jednak od jego zemsty okropnej! Piruzo! Do ciebie zwracam się o pomoc i ratunek! Ty jedna możesz mnie zbawić! Spójrz na mnie uważnie, a samo serce szepnie Ci, kim jestem! Serce się nie omyli! Zabije, zatrzepocze się w piersi i rozpozna prawdę od kłamstwa, odróżni Sindbada od Hindbada i odsłoni twym oczom, kto jest twym przyszłym mężem a kto niegodnym ciebie oszustem.

Król Miraż: Spójrz Piruzo! Spójrz! Spójrz na jednego potem na drugiego, a potem na obydwu równocześnie. Rządź się sercem i wskaż mi tego, którego serce twoje wybierze.

Piruzo: Serce mi wskazuje obydwóch i żadnego z nich ni wyróżnia. Obydwaj są zarówno mili, zarówno piękni i zarówno wymowni. A tak są do siebie podobni, że właściwie wszystko mi jedno który z nich mężem moim zostanie. Toteż myślę, że najlepiej zrobię, jeśli to nieporozumienie w inny zgoła sposób rozstrzygnę. Istnieje w moim kraju obyczaj, że narzeczony w dzień ślubu podarek dla swej narzeczonej przynosi. Otóż, wybieram na męża tego, który mi podarek piękniejszy i niespodziankę miłszą przygotował.

Hindbad: Gdzie masz swój podarek?

Sindbad: Nie mam żadnego.

Hindbad: Oto jest mój podarek. Nie jest to księga zwykła ale najdziwniejsza ze wszystkich ksiąg na świecie. Zapewne ci wiadomo, piękna Piruzo, że żadna roślina, zwierz ani żaden

człowiek nie mógł istnieć na wyspie Degiala. Wszystko to potężny Degial zamienił w malowidła i ułożył z nich księgę. Wszystko tu żyje i śpiewa i porusza się w tej książce, jeno w zmniejszeniu. Musiałem walczyć z Degialem aby mu tę księgę odebrać. Walka była straszna i niebezpieczna. Chętnie jednak naraziłem życie byle by przynieść Ci podarunku ślubnym tę księgę. Zajrzyj do niej a zobaczysz, że jest cudowna!

Piruz: Słów mi brak Hindbadzie żeby podziękować Ci za tak cudowną niespodziankę! Ciebie wybieram na męża! Widzę teraz, że jesteś szlachetny i mądry zaś tamten cudzoziemiec jest nikczemnym złodziejem i oszustem! Precz z mych oczu!

Król: Precz z mych oczu!

Hindbad: Precz z mych oczu!

MATKA DEGIALA

Matka Degiala: Zbudź się, zbudź się!

Sindbad: Czemu mnie budzisz?

Matka Degiala: Budzę Cię żeby uprzedzić o niebezpieczeństwie!

Sindbad: Kto jesteś? Nigdy nie widziałem tak starej, tak kościstej kobiety!

Matka Degiala: Nie dziw się młodzieńcze, jestem bowiem bardzo stara. Jak Ci się zdaje, od ilu lat błąkam się po świecie?

Sindbad: Na oko 1000 lat z górą.

Matka Degiala: Zgadłeś. A zdziwisz się gdy powiem ci kim jestem. Jestem matką Degiala, lecz mam dla Ciebie litość i życzliwość. Mąż mój był słynnym, w mieście szewcem. Gdy Degialek był mały powtarzałam mu: cieszę się że będziesz godnym swego ojca następcą i zajmiesz się uczciwym i szlachetnym rzemiosłem szewskim.

Degial: Ale ja wolę zostać duchem niewidzialnym niż najśłynniejszym w mieście szewcem!

Matka Degiala: Degialku, nie zasmucaj mnie i ojca swego! Zaczynaj uczyć się szewskiego rzemiosła.

Degial: Ani mi się śni! Czuje w sobie powołanie do sztuki czarnoksięskiej i grania na gongach.

Matka Degiala: Niedobry synu! Nie tylko stajesz się dla nas coraz bardziej niewidzialny ale odbierasz nam sen dźwiękami gongów! Narazasz nas na wycieńczenie i chorobę.

Degial: Niedługo zniknę całkiem!

Matka Degiala: Degialku, błagam cię abyś zaniechał gry na gongach! I przestań stawać się niewidzialnym.

Degial: Nigdy!

Matka **Degiala**: Synu, nie po to matka Cię na świat zrodziła abyś bawił się w niewidzialność i nieustannie grał na gongach. Jeśli natychmiast nie ustanieś wyrzekniemy się Ciebie na wieki.
(Degial znika na dobre)

...I chociaż jest moim synem nienawidzę go z całego serca za jego wyrodną niewidzialność i potworność. Dlatego chcę Cię ostrzec. Nienawidzi on i Ciebie i Hindbada za to że jest do ciebie podobny. Pragnie zabić was obu i pochować w jednym grobie.

Sindbad: Poradź mi dobra staruszek co mam zrobić, żeby uniknąć tego niebezpieczeństwa.

Matka Degiala: Udaj się natychmiast na brzeg morza. Stoi tam właśnie okręt, który odpływa do Bagdadu. Tylko spiesz się Sindbadzie.

Sindbad: Dziękuję! Do widzenia! (Sindbad wychodzi, zmiana przestrzeni – Bagdad)

W BAGDADZIE.PRACZKA

Sindbad: Witaj kochany wuju.

Wuj Tarabuk: Skądże wracasz mój sprany Sindbadzie? Jakie przygody i przepierki spotkały cię w podróży? Pewnie cię życie gnębiło i prało bo jesteś nieco przybladły.

Sindbad: Nie drogi wuju, życie mnie wcale nie zgnębiło. Raczej gnębi mnie to, że w tobie zamiast dawnej wesołości widzę jakąś smutnawość inak szość i nieswojość.

Wuj Tarabuk: Pójdźże w moje objęcia abym Ci ten pysk ucałował i sprął.

Sindbad: Powiedz mi wuju co znaczą te dziwne, jednostajne dodatki czy też wtręty do zdań, które stale posiadają tę lub inną wspólnotę ze słowem prac? Czemu na przykład nazwałeś mnie spranym zanim jeszcze wykazałeś niezaprzeczoną chęć sprania mego pyska?

Wuj Tarabuk: Spranym nazwałem cię zapewne dlatego, że powracasz z podróży morskiej i przypuszczam, że morze w ten sposób lub inny dało ci się we znaki. W zdaniu zaś sprać pysk użyłem tego słowa w znaczeniu poufnie pieszczotliwym zamiast „ucałować mocno, z całych sił i bez ceremonii”. A zresztą wyznam szczerze iż niezupełnie zdaję sobie sprawę z owych pralnianych określeń. Nawijają mi się na język same przez się i mam nieodparte wrażenie, iż całe nasze życie na tym padole płaczu jest jedną nieustanną przepierką zarówno tych przedmiotów, które się do prania nadają jak i tych, którym się powinno prania zaoszczędzić. Nie wytrzeszczaj na moją gębę oczu na kształt balii, bo gęba moja – to nie pracza, a język mój to nie brudna bielizna.

Sindbad: Wszelki duch Pana Boga chwali! Albom sam zwariował albo mam wuja wariata!

Wuj Tarabuk: Wiem, że raczej wolałbyś mieć wuja wariata, niżli zwariować. Wszakże dwie powyżej nadmienione możliwości zgoła nie wykluczają tej trzeciej iż obydwaj jesteście wariatami. Ty – jako opętany żądzą podróży siostrzeniec ja zaś – jako nadużywający

pracowniczych wyrazów wuj. W każdym razie zapamiętaj to sobie od niechcienia iż siostrzeniec nie powinien przezywać wuja w oczy – wariatem. Jesteś młokosem toteż na drugi raz nie skąp należącego mi szacunku niedopierku jakiś.

Sindbad: Przepraszam wuja najmocniej, lecz owe określanie wszystkich przedmiotów z punktu widzenia pracnictwa tak mnie oszołomiło, że stracił po prostu rozum, a w każdym razie szacunek dla wuja. Byłbym niezmiernie wdzięczny gdyby wuj zechciał mi wytłumaczyć tajemniczą przyczynę owych dziwnych, a nieustannych napomknęć o pracnictwie.

Tarabuk: Pracza, pracza jest sprawczynią mego nieszczęścia. Przypominasz sobie, że posiadam dwa kufry hebanowe jednakowych kształtów i rozmiarów tak do siebie podobne, że nie sposób jednego od drugiego odróżnić. Jeden stał po lewej drugi po prawej stronie. W prawym zwykłem składać brudną bieliznę, w lewym chowałem moje drogocenne wiersze. Otóż pewnego razu, kiedy prawy kufer po brzegi wypełnił się bielizną kazałem służącemu sprowadzić praczkę. Przyszła mówię więc do niej wskazując lewą ręką prawy kufer: Dobra kobiecino weźcie ten oto kufer z brudną bielizną do prania, a pamiętajcie dobrze mi wszystko wyprać, wyprasować i wykrochmalić. Poczym wyszedłem z domu na dłuższą przechadzkę, a pracza zapytała służącego...

Pracza: Który kufer mam zabrać?

Służący: Juści, że prawy, bom przecież widział że prawy kufer pan wskazał.

Pracza: Juści, że lewy bom przecież widziała, że pan lewą rękę podniósł do góry.

Służący: Co prawda to prawda.

Wuj Tarabuk:...Wtedy pracza zabrała prawy kufer. W trzy dni potem stawiała się z owym kufrem w pałacu.

No cóż kobiecino? Czy wszystko wyprane? Wykrochmalone? I wyprasowane?

Pracza: Wedle rozkazu. Wszystko wyprane, wykrochmalone i wyprasowane. Ani jednej plamki nie ostawiłam, chociaż po prawdzie było tam więcej plam niż czegokolwiek. Plamka koło plamki tak akuratnie wściubiona jak by kto miał umyślną przyjemność w onym starannym płamieniu.

Wuj Tarabuk: Jakże mi możecie kobiecino taki kłam w oczy zadawać? Czy jestem jakimś brudasem z zawodu ażeby w tak pilny sposób plamił bieliznę? Lubię czystość i nie znoszę brudu.

/Otwiera kufel/

Ratunku! Jestem zgubiony na całe lata! Moje wiersze sprane! Wszystkie przepadły. O cóż uczyniła ze mną niedobra kobiecino? Czyż nie wskazałem ci prawego kufra?

Pracza: Lewą rękę podniósł pan do góry, więc o lewym kufrze była mowa!

Tarabuk: Trzebaż mi było przyjść na świat mańkutem? Czyż nie umiesz niedobra kobiecino odróżnić bielizny od niebielizny? No powiedz sama czy tak wygląda bielizna?

Praczka: To prawda, że nigdy bielizna aż tak nie wygląda toteż długo miarkowałam i nijak zmiarkować nie mogłam, którą część swojej osoby przyodziewa jaśnie pan w te zbytki. Ale potem z mnóstwa onych plamek wymiarkowałam, że to pewnikiem jakieś śliniaczki albo i co innego.

Tarabuk: Precz z moich oczu! Nie chcę cię widzieć nigdy! Rozumiesz? Nigdy!

...Rozpacz moja od tej pory jest tak wielka iż umysł zsunął mi się nieco na bakier.

Sindbad: Nie martw się wuju! Na pewno rozerwiesz się nieco słuchając opowieści o moich przygodach. Posłuchaj.../opowiada, opowiada..../

/Wuj Tarabuk wtrąca co jakiś czas/

Wuj Tarabuk:...a więc osiadłeś na bieleźnie....

Wuj Tarabuk:...tylko ci oczy mydliła...

Wuj Tarabuk: ...tak, tak, życie pełne jest ciężkiego praczkowania.

/Sindbad spogląda na Tarabuka z coraz większą rozpaczą/

Wuj Tarabuk: Tak dziwnie na mnie popatrujesz, jakbyś chciał mnie oddać do prania. Wyznaj mi szczerze, czy pielęgnujesz w duszy tego rodzaju myśl nieludzką?

Sindbad: Uspokój się wuju! Nigdy podobna myśl nie powstała mi w głowie! Znadto cię kocham, abym na chwilę nawet pragnął pozbyć się ciebie w sposób tak bezrozumny.

Tarabuk: Więc może chcesz znów na czas nieokreślony opuścić swojego chorego wuja. Z oczu Ci to patrzy! Nieprawdaż Sindbadzie?

Sindbad: Nie zapieram się mych zamiarów.

Tarabuk: Nie zapierasz się? Dobrze robisz, że się nie zapierasz. W każdym razie stokroć lepiej jest się niedopierać niż zapierać. Kiedy odjeżdżasz?

Sindbad: Natychmiast.

Wuj Tarabuk: A więc...do widzenia!

Sindbad: Do widzenia.

NA STATKU ...SEN SINDBADA

(Sindbad wbiega na pokład statku)

Kapitan: Podnieść kotwicę, rozwinać żagle, odpływamy

(Sindbad zasypia)

Diabeł morski: Jak się masz Sindbadzie ?

Sindbad: Mam się nieźle. Nie rozumiem jednak po co wynurzasz się z fali i ukazujesz moim oczom ? Wcale nie jestem spragniony twojego widoku.

Diabeł morski: Stęskniłem się do ciebie. Byłem pewien, że rady moje utkwiły głęboko w twym sercu i że w końcu opuścisz nudny dom wuja Tarabuka aby na świecie szukać nowych przygód.

Sindbad: Gnają mnie w świat nie twoje rady lecz moje własne marzenia i żądze.

Diabeł morski: Tym lepiej, tym lepiej. Zawszem się o to starał, aby rady moje odpowiadały twoim żądom i marzeniom. Mam do ciebie żal słuszny za to, żeś ongi list mój wrzucił do głębiny morskiej zamiast go zachować przy sobie na pamiątkę. Znalazłem ten list w morzu i korzystam ze sposobności aby go dzisiaj zwrócić tobie.

Sindbad: Precz z tym listem ! Nie potom go falom morskim oddał, aby go znowu przyjąć z powrotem. Nie chcę tego listu ! Brzydzę się tym listem. Protestuje przeciwko temu listowi !

Diabeł morski: Nadaremne twe okrzyki. Poniechaj wszelkich wysiłków i sprzeciwień. Znieruchomię cię swoim wzrokiem i wsunę list z powrotem do kieszeni.

(Wsuwa list do kieszeni Sindbada)

Zbudź się, zbudź się, zbudź się.

(Sindbad się budzi, sprawdza kieszeń i znajduje list. Wokół Sindbada zbiera się załoga. Stary marynarz zabiera list)

Sindbad: Nie dręcz mnie bezpotrzebnie pociskami twych spojrzeń, stary i wytrawny marynarzu. Mów wprost co masz do powiedzenia. Wolę śmierć szybką niż twoje długotrwałe spojrzenia. Nikt nigdy jeszcze dotąd nie patrzył na mnie w ten sposób.

Stary marynarz: Znam ja potęgę mojego wzroku. Wypróbowałem ją na niejednym zbrodniarzu. Lecz każda nowa próba sprawia mi nową przyjemność. Widzę cię na wskroś, na wylot na przestrzał i do cna. List, który wczas udało mi się wyrwać z twojej dłoni, jest listem diabła morskiego, ty zaś jesteś jednym z jego najbliższych krewnych. Obecność tego listu wróży klęski i nieszczęścia. Jedynym dla nas ratunkiem jest pozbycie się tego listu oraz twojej osoby. Wybór środków pozbycia się ciebie i listu należy do kapitana.

Kapitan: Rozkazuję staremu, wytrawnemu marynarzowi aby list bezzwłocznie wrzucił do morza. Ciebie zaś krewniakowi diabła wysadzimy na pierwszym lądzie, który na drodze spotkamy.

(Nagle się ściemnia, rozpętuje się burza, okręt tonie. Sindbad ratuje się uciepiony masztu i dopływa do najbliższej wyspy)

JAJO PTAKA ROKA

Sindbad: Morze to nie rzeka a ptak to nie krowa. O, mój drogi wuju ile świętej prawdy jest w twych słowach. Gdyby ptak mógłby być krową, to zamiast tego cudacznie wielkiego jaja, znalazłbym ogromną beczkę świeżego mleka. Cóż to za ptak mógł zostawić tak potwornie wielkie jajo pośrodku pustyni ? Na pewno żaden ze znanych mi gatunków. O mój kochany

wuju, przyjdzie mi umrzeć z głodu i nigdy cię już nie uściskam i nie wysłucham twych nowych poematów. Chyba że uda mi się zrobić dziurkę w tej skorupie i zjeść to co jest w środku jaja.

(Dłubie w skorupie)

Czyli białko ! Niezbyt to smaczne ale na pewno bardzo pożywne. Smakuje tak jak normalne kurze.

(Mija czas)

Na śniadanie – białko. Na obiad – białko. Na kolację – białko. Na śniadanie – białko. Na obiad – białko. Na kolację – białko. Na śniadanie – białko. Na obiad – białko. Na kolację – o, żółtko !

Na śniadanie – żółtko. Na obiad – żółtko. Na kolację – żółtko. Na śniadanie – żółtko. Na obiad – żółtko. Na kolację – żółtko. Na śniadanie – żółtko. Na obiad – żółtko. Na kolację – ...
(zagląda do jaja). Pusto, zjadłem już wszystko.

(Nadlatuje ptak Rok)

Sindbad: Rzeczywiście, ptak – to nie krowa. (Sindbad wskakuje do jaja. Ptak porywa jajo i odlatuje. Ląduje w kotlinie diamentowej. Sindbad wysiada i zbiera diamenty. Ptak odlatuje)

Sindbad: Jakie nadzwyczaj piękne diamenty, będę zbierać tylko największe i najbłyskotliwsze . O wuju! Miałeś rację, za morzem – Bóg wie co....

(Zaczyna się ściemniać. Z dna kotliny wypływają węże.)

Ratunku ! Muszę prędko znaleźć jakąś kryjówkę.

Węże: *(Śpiewają)* Chwała kotlinie diamentowej. Chwała królownie, której boski żołądek z taką łatwością trawi diamenty. Bracia-węże, tańczcie ! Bracia-węże, pływajcie ! Bracia-węże, pamiętajcie, że ojcowie nasi wierzyli tylko w potęgę fletu, bo z niego powstała pieśń, a z pieśni taniec, a z tańca błysk w ślepiach, a z błysków w ślepiach, diamenty. A z diamentów kotlina diamentowa, którą codziennie odwiedza ptak Rok, narzeczony królowny, której boski żołądek z taką łatwością trawi diamenty.

(Rozjaśnia się, węże chowają się.)

Sindbad: O ja nieszczęsny, co pocznę teraz w tej kotlinie, z której nie ma wyjścia. Na cóż przydadzą mi się te wszystkie diamenty. Przyjdzie mi tu chyba skonać z głodu. O ! Nadlatuje ptak Rok. Wydostanę się z tej diamentowej pułapki, uczepiony jego skrzydła.

(Przylatuje Rok, odlatuje z Sindbadem do swojego gniazda.)

NAJDROŻSZA

(Sindbad spada do dziwnego wnętrza, podnosi się poturbowany)

Sindbad: Ptak – to nie krowa...(spotyka Najdroższą.)

Sindbad: Domyślam się, że jesteś królewną, jak nie z tej, to z innej bajki. Naucz mnie proszę twego imienia, bo jest mi tak samo nieznane, jak ty i dźwięk twego głosu.

(Królewna ziewa wymijająco.)

Sindbad: Powiedz kim jesteś, skąd pochodzisz, czemu przebywasz w dziupli olbrzymiego Roka ? Jakie są twoje przeznaczenia ?

(Królewna ziewa tajemniczo i zjada diament.)

Sindbad: Co czynisz nieogłędna !? Połknięty diament może przyprawić cię o niestrawność śmiertelną. Mów do mnie co prędzej bo skonam u stóp twoich z zachwyty i ciekawości !

(Królewna ziewa przychylnie.)

Najdroższa: Nie chcę mi się mówić. Jestem znudzona i właściwie nie mam nic do powiedzenia.

Sindbad: Zgaduję ! Zgaduję, że zły los związał twoje życie osobliwie z życiem drapieżnego Roka ! Domyślam się, że przebrzydły skrzydlak nie umie ani ocenić ani dogłębnie zrozumieć twojej duszy. Czyż nie mam racji ?

(Królewna ziewa zadumanie)

Najdroższa: Może masz i słuszość, bo mówisz z zapalem. Dotąd nie myślałam o tym, że ptak nie rozumie mej duszy, ale teraz zaczynam o tym myśleć i przypuszczam, iż masz słuszość.

Sindbad: Otworzyłem ci oczy po raz pierwszy w życiu !

Najdroższa: Zapewne... otworzyłeś. Nic mnie jednak bardziej nie znudziło, jak to żeś mi otworzył oczy. Nudzi mnie wszystko, nudzi mnie to, że pochodzę od niewiadomych rodziców i to że wychował mnie ptak Rok, karmiąc mnie codziennie najśłodszymi diamentami. Nudzi mnie wreszcie samo trawienie diamentów, chociaż nie znoszę innych potraw.

(Sindbad częstuje ją swoimi diamentami)

Sindbad: Skosztuj proszę moich diamentów. Ciekaw jestem czy będą ci smakowały równie słodko jak te.

Najdroższa: Nie wiedziałam, że jesteś posiadaczem tak wybornych i soczystych diamentów. Pokochałam Roka, gdyż dostarczał mi co dzień mojej ulubionej potrawy, ale czuję, że odtąd będę darzyła miłością ciebie, gdyż twoje diamenty są o wiele większe i smaczniejsze niż te, które Rok mi przynosi. Teraz mogę odsłonić ci moje imię. Nazywam się Najdroższa. Imię moje ma tę właściwość, że zbyt spoufala ze mną mężczyzn, którym je powierzę. Toteż powierzam je tylko wybranym. Z kolei ty oznajmij swoje imię, nieznany młodzieńcze.

Sindbad: Nazywam się Sindbad. Już czuję na sobie osobliwe działanie twego imienia. Mam nieodparte wrażenie, że znam cię od dawien dawna, o Najdroższa moja ! Porzuć raz na zawsze tę dziuplę ! Uchodź wraz ze mną ! Będę cię karmił najśłodszymi diamentami, o Najdroższa moja !

Najdroższa: Jaki jest twój zawód, czy jesteś jubilerem ?

Sindbad : Nie ! Jestem podróżnikiem, ale obiecuję, że diamentów nigdy ci nie zabraknie. Znam kotlinę diamentową dokąd i Rok udaje się na swe łowy, tyle że ja czynię wybór sumienny, a on zadawała się diamentami, które trafił do skrzydeł mu przylepi.

Najdroższa: A więc idę z tobą. Dokąd mnie prowadzisz ?

Sindbad: Do Bagdadu.

Najdroższa: Czy masz tam pałac ?

Sindbad: Mam.

Najdroższa: Czy z otomaną i różowym oświetleniem ?

Sindbad: Znajdzie się i otomana i różowe oświetlenie.

Najdroższa: Boję się tylko pościgu mego ptaka. Pała do mnie miłością bezwzględną i jestem pewna, że będzie nas ścigał. Mam jednak przy sobie latarkę-plotkarę, która działa w ten sposób, że osoby jej blaskiem objęte, jawią się oczom, w miejscu gdzie ich właściwie nie ma.

(Nadlatuje Rok, Sindbad raz po raz karmi ją diamentami. Najdroższa włącza latarkę, uciekają, wbiegają na pokład statku)

Kapitan podaje dłoń Najdroższej – ta zjada diament z sygnetu.

Królewna: Nieco kwaskowy, ale jestem tak głodna, że nie mogę zwracać uwagi na takie drobiazgi.

Sindbad: Kapitanie, przepraszam cię za to co ci się przytrafiło. Zwrócę ci po powrocie do Bagdadu brylant tej samej wielkości.

Kapitan: Nic nie szkodzi! Nic nie szkodzi! Mam nadzieję, że na moim okręcie nie zabraknie diamentów dla wykarmienia tak czarownej królowej, bo jestem pewien, że żona pańska jest królową jak nie z tej, to z innej bajki.

Sindbad: Zgadłeś, kapitanie. Prawdziwa to królewna, która ma jedyną wadę: połykanie diamentów.

Kapitan: Nie jest to wada, jeno raczej czar, urok, powab lub coś w tym rodzaju.

Sindbad: Właśnie, właśnie, coś w tym rodzaju.

(Płyną)

Królewna: Sindbadzie! Jestem głodna!

(Sindbad długo przeszukuje kieszenie, znajduje jeden diament, daje go Najdroższej)

Sindbad: Najdroższa, pohamuj swój apetyt, to był ostatni diament lecz wkrótce będziemy w Bagdadzie, a tam obiecuję ci, dostaniesz 100 worków pełnych najsmaczniejszych diamentów.

Najdroższa: Ale ja jestem głodna! Głodna! Głodna!

(Najdroższa wrywa się Sindbadowi, biega po okręcie, szuka diamentów, zjada je z sygnetów śpiących marynarzy, Sindbad biega za nią błagając, żeby przestała – bez skutku).

Najdroższa: Jestem głodna!

Sindbad: O Najdroższa, błagam cię, przestań!

Najdroższa: Ale ja jestem głodna!

Sindbad: Nie zaglądaaj tylko do kufra kupca perskiego, bo jeśli zginie mu choćby jeden – zaszytyletuje i ciebie, i mnie.

Najdroższa: Jestem głodna!

(Najdroższa biega po okręcie, Sindbad gubi ją z oczu, Najdroższa dopada do kufra kupca i zjada wszystkie diamenty – Sindbad znajduje ją i załamany płacze)

Najdroższa: Nie płacz! Mam przecież latarkę-plotkarkę, która nas ukryje przed okiem kupca.

(Zgiełk, kupiec perski biega z nożem, załoga za nim)

Kupiec: Mój kufer pusty! Gdzie oni są! Gdzie jest ta zjadaczka diamentów! Uduszę! Zabiję! Tym nożem wypatroszę!

(Sindbad i Najdroższa w ukryciu)

Najdroższa: Dość mam ciebie i twojego Bagdadu. Nie wierzę ani w ciebie, ani w twój Bagdad. Chcę wrócić do mojej dziupli, mojej różowej otomany i do mojego skrzydlaka, który co dzień dostarcza mi świeżych diamentów!

Sindbad: Co mówisz Najdroższa?!

Najdroższa: Mówię, co mówię! Postanawiam, co postanawiam! Znudziło mnie wszystko: i ty, i kapitan, i kradzież diamentów, i ten twój Bagdad, którego jeszcze nie widziałam!

(Najdroższa gasi latarkę-plotkarkę i wzywa Roka)

Skrzydłaku mój, cudowny, dziki skrzydlaku! Zbliź się do mnie i unieś mnie z powrotem do swojej dziupli!

(Rok i Najdroższa odlatują)

(załoga + kupiec perski stoją zaskoczeni znieruchomiali, po chwili kupiec z nożem zbliża się do Sindbada)

Sindbad: Czcigodny kupcze, obiecuję uroczyście, że natychmiast po powrocie do Bagdadu zwrócę ci stracone diamenty w tej samej ilości!

Kupiec: Uduszę! Zabiję!

Sindbad: Zważ panie, że ze śmierci mojej żadnego pożytku mieć nie będziesz.

Nie sugeruj się także moim skromnym odzieniem, w Bagdadzie mam 100 pałaców, 100 ogrodów i niezliczone kufry diamentów. Wśród nich na pewno znajdziesz taki, który wynagrodzi ci stratę twojej skrzyni.

Kapitan: Ten szlachetny młodzieniec na pewno nie kłamie. Wszyscy tu będziemy świadkami jego obietnicy.

Kupiec: Dobrze, niech i tak będzie. Daruję ci życie, ale do końca podróży z oka cię nie spuszcze i na krok nie odstąpię.

(Przybijają do brzegu. W skarbcu Sindbada)

Sindbad: Wybierz jedną z tych skrzyń, a ręczę, ci, że jej zawartość aż nadto wynagrodzi twą stratę.

Kupiec *(wskazuje na największą)*: Tę właśnie wybieram. Mam nadzieję, iż potrafię ją samopas nieść na własnych barach.

Sindbad: Wątpię o tym. Jest to najcięższa skrzynia i myślę, iż jeden człowiek nie poradzi takiemu brzemieniu.

Kupiec: Gdybym był tylko człowiekiem, może bym nie poradził. Na szczęście jestem nie tylko człowiekiem, lecz jeszcze czymś ponadto.

Sindbad: Czym, jeśli wolno zapytać?

Kupiec: Jestem zwyrodniałym czarodziejem, który niegdyś posiadał wszelkie moce czarnej magii. Dzisiaj, niestety, pozostała mi jedna jedyna sztuka dźwigania ciężarów bez żadnego wysiłku.

Sindbad: Jakże się to stało, żeś zatracił swe zdolności czarodziejskie?

Kupiec: Dzięki niepomiernemu obżarstwu zachorowałem na katar żołądka, potem na katar kiszek, aż wreszcie na coś, co doktorzy półgłosem nazywali katarem mózgu. Dzięki temu ostatniemu katarowi zacząłem z wolna, stopniowo, następnie i kolejno tracić rozmaite zdolności umysłowe i czarodziejskie. W ten sposób straciłem wszystkie prócz jednej, którą ci już wymieniałem. Wyświadcza mi ta zdolność w życiu rozmaite przysługi i w danym razie z jej pomocą potrafię zaopatrzyć swe plecy w owo drogocenne brzemię.

(bierze na plecy skrzynię i bez żadnego wysiłku wynosi ją z pałacu. Wchodzi Tarabuk,]

TYSIĄC DZIEWCZĄT

Sindbad: Dzień dobry wuju! Cieszę się niezmiernie, że zastaję cię w dobrym humorze i zdrowiu!

Wuj Tarabuk: Witaj, drogi Sindbadzie! Dobry humor mój zawdzięczam własnej pomysłowości, która podsunęła mi sposób, jak na przyszłość uniknąć możliwych katastrof. Zaprzystałem pisanie wierszy na papierze i pergaminie. Papier bowiem i pergamin narażone są na rozmaite niebezpieczeństwa. Lada wiatr może je zwiać do głębiny morskiej, a lada praczka mydlinami pozbawić pracowicie nakreślonych liter.

Sindbad: Na czym więc teraz zapisujesz swoje wiersze?

Tarabuk: Zaraz zobaczysz *(klaszcze w dłoń, wchodzi tysiąc dziewcząt)*. Wynająłem tysiąc niewolnic i kazałem im uczyć się moich wierszy na pamięć. Każda z nich zakarbowwała w pamięci już dziesięć moich wierszy! Razem dziesięć tysięcy utworów. Zaraz przepytam dziewczęta, a wiedz, że robię to co wieczór.

(przepytuje dziewczęta)
Dziewczęta:
Stoi samotna topola,
Pośrodku wielkiego pola,
Stoi, stoi i słucha,
Jak szelestnie brzęczy mucha.
Kiedy wiosna nadchodzi
Słońce szybciej wschodzi
I piękniej promienieje
A dzień dnieje i dnieje.
Dnieje sobie poranek
A zmierzch sobie zmierzcha
Zgubiło dziewczę wianek
A znalazł koleżka.

Tere-fere, kuku-żaba.
Dziś na obiad zjadłem kraba!
Krab zielony był i basta
Nie nadawał się do ciasta!
Wiecznym piórem dłubał w nosie
Wielki sułtan! A to prosię!
Potem coś trzy po trzy plótt
Że to był największy cud!
Słynna w całym świecie Bla-Bla
Na sułtana dziko wsiadła
Wzięła chyba go za kraba
Tere-fere, kuku-żaba!

To nie krowy tak marudzą w stajni i oborze
Jeno śpiewa piękna Inez, o! Boże mój, Boże!
Śpiewa, tańczy, podskakuje i kieckę zadziera,
Deski stopą rozłamuje, a dłonią kurz ściera!

Tędy i owędy szedł sobie ślimaczek,
Zostawiał za sobą kolorowy szlaczek.
Szlaczkiem tym przebiegła w płasach, lekka ważka,
I nic się nie stało i koniec, i kaszka.

(Dziewczęta recytują błyskawicznie rymowane bzdury)

Wuj Tarabuk: Jakże ci się podoba nowy sposób utrwalania mych utworów?

Sindbad: Czy wuj nie sądzi, iż dziewczęta wygłaszają wiersze za szybko?

Wuj Tarabuk: Nigdy za szybko! Nigdy za szybko! Wiersz trzeba albo wygłaszać szybko, albo wcale! Trzeba nawet dojść do tego, aby wargi trzepocząc się na wyprzódki, pogmatwały się w swych wspólnych rozpędach. Niech nie wie wargą górną, co mówi wargą dolną! Prawda, dziewczęta?

Dziewczęta: Prawda, prawda, prawda!

Wuj Tarabuk: Co dzień przed udaniem się na spoczynek nocny niewolnice moje przysięgają mi uroczyście, że nigdy samochcąc, z własnej i nieprzymuszonej woli nie wyrzucą ze swej pamięci mych utworów.

(zwraca się do dziewcząt)

- Przysięgnijcie mi wedle zwyczaju!

Dziewczęta: Przysięgamy, przysięgamy, przysięgamy!

Wuj Tarabuk: Przyznaj, żem wiedział, komu powierzyć moje utwory. Czym papier, czym pergamin wobec takich dziewcząt. Tak – ani ich wiatr do morza nie zwieje, ani praczka z nich moich utworów nie wypierze!

(na skinienie wuja dziewczęta wychodzą)

Wuj Tarabuk: Jesteś zapewne znużony podróżą, nie chcę więc ciebie dzisiaj zmuszać do opowiadań, choć wiem, że ci się sporo dziwów w krajach dalekich napatoczyło.

Sindbad: O, tak drogi wuju! Spotkało mnie w podróży wiele dziwów niezwykłych i wyznam szczerze, że pałam niezwykłą żądzą natychmiastowego ich opowiedzenia!

Wuj Tarabuk: Odłóżmy do jutra twą opowieść, księżyc bowiem już wzeszedł i najwyższy czas na spoczynek. Dobranoc! Dobranoc!

(Sindbad zostaje sam.)

(Nagle staje przed nim Młodzieniec)

Młodzieniec: Czy nie jesteś przypadkowo Sindbadem Żeglarzem?

Sindbad: Tak.

Młodzieniec: Czy pozwolisz zatem uścisnąć twoją dłoń?

Sindbad: I owszem.

Młodzieniec: Sława twoja ogarnęła świat cały. Imię twoje rozbrzmiewa po wszystkich krajach. Moim największym pragnieniem jest usłyszeć opowieść o twoich niezwykłych podróżach. czy zechciałbyś wyświadczyć mi ten wielki zaszczyt i opowiedzieć mi choć drobną część swych słynnych przygód?

Sindbad: Z największą ochotą.

(gada, gada, gada)

Sindbad i Młodzieniec

Młodzieniec: Marzeniem moim jest wspólna z tobą podróż. Będę ci w podróży pomocny.

Umiem pływać jak ryba. Znam morze na wylot jak ryba. Burzę morską wyczuwam nieomylnie jak ryba. Jestem zwinny jak ryba. Słowem będziesz miał we mnie wiernego i dzielnego towarzysza. Wyruszymy wprost do krajów nieznanych. Wyobrażam sobie, ile królewien zaklętych spotkamy po drodze! Ilu czarnoksiężników zwyciężymy! Nie warto zwlekać, nie warto się spóźniać! Kto późno przychodzi, ten sam sobie szkodzi!

Sindbad: Zgoda drogi przyjacielu. Dziś jeszcze wyruszymy. Nie trzeba zwlekać ani chwili! Może właśnie teraz przeznaczono nam spotkać bajkę najpiękniejszą! Jeśli się spóźnimy, nigdy już oczy nasze jej nie ujrzą. Pozwól tylko, że pożegnam się z wujem.

- Wuju! Wuju! Wyjeżdżam.

Tarabuk: Dokąd?

Sindbad: Do krain nieznanych.

Tarabuk: W takim razie wesołej podróży.

(żegnają się)

Młodzieniec i Sindbad wbiegają na pokład, po czym Młodzieniec znika, a Sindbad zostaje z listem DM w rękę.

statek odpływa)

NA OKRĘCIE

Kapitan (do Marynarza): Gdzie jest spis załogi okrętowej?

(Marynarz wyrrywając list Sindbadowi) – Tu jest!

(podaje list Kapitanowi.

Kapitan czyta – patrzy na Starszego. Marynarza.

Sindbad jęczy)

Kapitan: Kto tam jęczy?

(Sindbad jęczy dwa razy) – Cóż ty za brednie dałeś mi do czytania)

Kapitan: Kto tam jęczy po raz wtóry?

St. Marynarz: Do stu piorunów! List Diabła Morskiego na okręcie! Czekają nas klęski i nieszczęścia. Wolałbym w morzu oczy zgubić niż taki list znaleźć! To list tego cudzoziemca, który po dwakroć jęknął i po dwakroć nic na pytanie kapitana nie odpowiedział.

Kapitan: Prawda to?

Sindbad: Prawda.

Kapitan: Wrzuć natychmiast list do morza. Wyznaj nam prawdę, jakie węzły pokrewieństwa łączą cię z DiabłemMors.?

Sindbad: Nie jestem wcale jego krewnym, ściga mnie już od lat kilku, nie dając spokoju i przysparzając nieszczęść nieuniknionych. Opowiem ci kapitanie wszystkie jego dokoła mojej osoby zabiegi, wszystkie pokusy, którymi mnie dotyka, wszystkie starania jakich przykładu, aby mnie pogrążyć w nieustannym zgnębieniu. Wysłuchaj cierpliwie mojej opowieści, a przekonasz się, że jestem niewinny i że nie mam nic wspólnego z tym morskim potworem.

Kapitan: Biedny Sindbadzie, bo tak się wszak nazywasz? W pierwszej chwili, gdy stary i wytrawny marynarz oznajmił mi przynależność listu diabelskiego do ciebie, powziąłem zamiar utopienia cię w morzu, lecz teraz myślę, że jesteś ofiarą DiabłaMors. Możesz pozostać na naszym okręcie, proszę cię tylko o jedno – abyś od czasu do czasu opowiadał mi o DiabłemMors. wszystko, co masz do opowiedzenia.

Sindbad: Przyszekam ci, kapitanie i dotrzymam słowa!

(Sindbad chodzi za kapitanem. Gada, gada, gada)

Kapitan: Biedny Sindbadzie, bo tak się nazywasz? Mam dla ciebie współczucie, a chociaż mógłbym i dziś jeszcze cię utopić w morzu, pozwalam ci jednak zostać na okręcie, proszę wszakże o jedno, a mianowicie: abyś przestał opowiadać mi o DiabłemMors. wszystko, co masz do opowiedzenia!

Sindbad: Przyszekam ci, kapitanie i dotrzymam słowa!

(nagle słychać odgłosy piłowania)

Starszy Marynarz: Kapitanie! Ryba piła!

Kapitan: Źle z nami! Czeka nas niechybna zguba.

Sindbad: Jak to? Dlaczego jedna ryba wywołuje taki popłoch wśród załogi!?

Nawet kapitan zbladł jak kreda.

Starszy Marynarz: Zaraz będziemy mieć na karku całą zgraję ryb pił. A są to ryby wielce niebezpieczne! Piła jest to ryba potworna, obdarzona w miejscu przedłużenia pyska narzędziem w kształcie piły. Cokolwiek chce zmajstrować, ucieka się zawsze do tego jedyne narzędzia. Jakiegokolwiek czynu się podejmuje – czyn ten zawsze sprowadza się do piłowania. Wszystko jej jedno co piłuje, byle piłowała! Cały jej żywot polega na nieustannym i nieuniknionym piłowaniu. Trudno określić, czy przychodzi na świat po to żeby piłować, czy piłuje po to, ażeby w jakikolwiek sposób zaznaczyć swoją obecność na świecie, czy też może dlatego, iż każdy jej odruch jest mimowolnym piłowaniem.

Zgraja pił z lubością, z zapalem i ze znanstwem przepiłuje dno naszego okrętu!

Marynarz: Kapitanie, toniemy! Nie ma dla nas ocalenia!

(piły niszczą statek, Sindbad skacze z tonącego statku na brzeg wyspy)

(dociera na dwór króla Pawica)

U króla Pawica

(Sindbad, Król Pawic, Kaskada, dworzenie, mieszczanie)

(Król Pawic siedzi na tronie pochłonięty czytaniem książki, wchodzi Sindbad wraz z Dworzaninem)

Dworzanin: Królu! Przyprowadzam ci cudzoziemca, który pragnie oglądać twe oblicze.

(Król czyta nadal, uśmiecha się do siebie)

Dworzanin: Królu!! Przyprowadzam ci cudzoziemca, który pragnie oglądać twe oblicze!

(Król czyta nadal, tym razem smutny)

Dworzanin: Królu!!! Przyprowadzam ci cudzoziemca, który pragnie oglądać twe oblicze!

(dworcy króla mogą nieśmiało włączyć się w krzyk dworzan)

(Król nadal czyta, tym razem z ogromnym zaniepokojeniem)

Dworzanin: Wrzask mój widocznie nie wystarcza. Byłoby chyba najlepiej, gdybyśmy razem, wspólnymi siłami i zgodnym chórem, wrzasnęli jednakże zdanie.

Sindbad: Owszem, nie mam nic przeciwko temu, chciałbym tylko wiedzieć, jakie zdanie mam wykrzyknąć.

Dworzanin: To samo, które dotąd nadaremnie powtarzam!

Sindbad: Będzie to poniekąd śmieszne, jeśli sam o sobie wykrzyknę zdanie, które tylko ktoś inny może o mnie wygłosić.

Dworzanin: Nic nie szkodzi. Idzie tylko o to, aby na dwa głosy wrzasnąć to, com dotąd jednym głosem wywrzaskiwał.

(Dworzanin daje znak i krzyczą razem)

Królu, przyprowadzam ci cudzoziemca, który pragnie oglądać twe oblicze!!!

(Król odrywa się od książki)

Król: Kto mówił i do kogo?

Dworzanin: Królu, oto cudzoziemiec, który zgodnie z prawnym zwyczajem pragnie pokłonić się przed twym najjaśniejszym obliczem!

Król: A, bardzo to pięknie z twojej strony, młody cudzoziemcze, że nawiedzasz naszą krainę. Przerwałeś mi wprawdzie niezmiernie ciekawą bajkę, ale niestety zawsze ktoś komuś musi coś przerwać. Podobasz mi się bardzo! Śmiało mogę rzec, iż od pierwszego wejrzenia poczułem do ciebie sympatię. Możesz tedy zamieszkać w moim państwie, lecz muszę cię uprzedzić, że według naszych odwiecznych zwyczajów, żaden, nawet najsympatyczniejszy cudzoziemiec, nie ma prawa poślubić naszej poddanej bez specjalnego królewskiego zezwolenia.

(Sindbad oczarowany urodą dworcy króla Pawica).

Sindbad: Miłościwy Królu, jestem oczarowany urodą i wdziękiem waszych poddanek, toteż byłbym niezmiernie wdzięczny, gdyby Wasza Królewska Mość na dowód sympatii dla mojej osoby zezwoliła mi na poślubienie jednej ze swych poddanek, których zbyt wielka mnogość wzbrania mi jeszcze poszczególnego i stanowczego wyboru.

Król Pawic: Oczywiście, drogi cudzoziemcze, moja sympatia dla ciebie jest tak ogromna, że udzielam ci tej zgody natychmiast (do Dworzanina) – Notuj, proszę –

My, król Pawic, władca wyspy, książę wszystkich ogrodów, wódz wszystkich na wyspie jeźdźców, arcykapłan wszystkich na wyspie obrzędów, arcyznawca ugrzecznień, gościnności, arcymiłośnik bajek i jazdy konnej, niniejszym wiadomym czyni, iż cudzoziemiec – Sindbad – mocen jest pojąć za żonę jedną z naszych poddanek, których niezwykła uroda zwróciła jego uwagę, a których zbyt wielka liczba wzbrania mu dotąd stanowczego i poszczególnego wyboru.

(Podpisuje) – Król Pawic.

(Dworzanin wręcza Sindbadowi pismo, ten radośnie je odczytuje, wokół Sindbada zbierają dziewczęta, zerkają zachwycone na pismo, odczytują je sobie, Sindbad zerka na nie ukradkiem, zbliża się wieczór, przy Sindbadzie zostaje jedna tylko dziewczyna – wpatrzona w pismo).

Sindbad: Piękna samotnico, jak możesz psuć swe źrenice odczytywaniem po nocy tego pergaminu?

Dziewczyna Kaskada: Treść tego pergaminu jest tak ciekawa i porywająca, że wolę raczej popsuć swe oczy, niż pozbawić się rozkoszy odczytywania słów, które się barwią na jego powierzchni. Nazywam się Kaskada.

Sindbad: Piękne to imię, znaczy niemal tyle, co wodospad. Pasjami lubię wodospady.

Dziewczyna Kaskada: Szczęśliwy jesteś.

Sindbad: Dlaczego?

Dziewczyna Kaskada: Dlatego, że król obdarzył cię tak zaszczytnym zezwoleniem.

Sindbad: A cóż byś uczyniła ty, gdyby król pozwolił ci poślubić cudzoziemca?

Dziewczyna Kaskada: Wybrałabym ciebie!

Sindbad: Niechże się stanie jako rzekłaś. Nie mogłem sam zdobyć się na wybór, ale za to potrafię być wybrańcem. Natychmiast zostaniesz moją żoną!

(Pobierają się)

(Sindbad z Kaskadą spacerują trzymając się za ręce, wpatrzeni w siebie).

Sindbad: Piękna Kaskado, pożycie nasze małżeńskie jest szeregiem cudów, zachwyków, uśmiechów, rozrywek i nieustannych spacerów.

(Kaskada potakuje uśmiechnięta, nagle wspina się na wzniesienie i dzikim zachwytem skacze, za chwilę robi to samo).

Sindbad: Muszę wyznać, piękna Kaskado, że twoje dziwne zachowanie jest dla mnie niezrozumiałe. Cóż to za narów zmusza się do nieustannego skakania? Co czynisz piękna Kaskado?

Kaskada: O drogi Sindbadzie, od urodzenia trawi mnie niepohamowana żądza zrzucania się ze szczytów skał i gór w przepaści i otchłanie!

(Sindbad chwyta ją za rękę i odciąga)

Sindbad: Kaskado, skoki takie są bezrozumne, a do tego niebezpieczne. Musisz mi obiecać, że nigdy beze mnie nie będziesz wychodzić na spacer, zwłaszcza, że wyspa ta obfituje w wysokie skały i niezgłębione doliny).

(Kaskada potakuje i idzie posłusznie za Sindbadem, , patrzą sobie w oczy)

Sindbad: Najmilsza Kaskado, jakże jestem szczęśliwy, pożycie nasze małżeńskie jest pasmem ciekawych pogadanek, pośpiesznych uderzeń serca, złotych snów i mniej złotych ocknień

(Kaskada skwapliwie potakuje)

(Nagle wychodzi kondukt żałobny, prowadzi go król Pawic, za nim idą dworzanie, na końcu rozpaczający mężczyzna).

Kondukt może powtarzać: „Kogo żona opuści, tego śmierć nie wypuści”, „Za życia jak głaz z głazem, po śmierci za to razem”.

Sindbad podchodzi zainteresowany do idących.

Sindbad: (pyta pierwszego z brzegu) – Dlaczego ten biedny człowiek płacze tak przeraźliwie.

Człowiek: Wczoraj zmarła mu żona. Kąpiąc się w jeziorze pogrążyła się nagle w zadumie tak niepokonanej, że nie spostrzegła nawet kiedy zaczęła tonąć.

Sindbad: (biegnie na koniec orszaku)

- Wiem jakie nieszczęście cię nawiedziło. Uspokój się jednak i nie rozpaczaj tak straszliwie. Rozpacz nic nie pomoże. Jesteś jeszcze młody, życie nasz przed sobą.

Mężczyzna: Drwisz chyba! Życie jest już poza mną! Czyż nie wiesz o tym, że według naszych obyczajów w razie śmierci jednego z małżonków żywcem grzebią drugiego?

Sindbad: Jak to! Czy może to być, aby w kraju, gdzie panuje dobroduszny król Pawic, istniał tak okrutny obyczaj?

-Dworzanin: Istnieje, niestety.

(oburzony Sindbad biegnie na początek orszaku do króla Pawica)

Sindbad: Królu!!! Dowiedziałem się przed chwilą o istnieniu w twym państwie tak niehumanicznego obyczaju, że włosy mi dęba stanęły i zapewne jeszcze stoją.

Król: Stoją. A zatem czym mogę ci służyć?

Sindbad: Powiedz mi królu, czy cudzoziemcy też podlegają przemocy tego okrutnego zwyczaju?

Król: Też.

Sindbad: Bez wyjątku?

Król: Bez.

Sindbad: Czy jako cudzoziemiec nie mógłbym otrzymać w tym smutnym położeniu jakichkolwiek przywilejów?

Król: Na przykład... jakich?

Sindbad: Na przykład przywilejów zwłoki, przewłoki lub odwłoki.

Król: Nie.

Sindbad: Dziwi mnie, że pod panowaniem tak dobrodusznego króla trwają w całej pełni tak okrutne zwyczaje.

Król: A jednak moja dobroduszość, która tak ci przypadła do serca, też jest tylko zwyczajem. Czy jestem dobroduszny z natury – nie wiem. Czytam bajki, uśmiecham się, udaję człowieka roztargnionego, gadam częstokroć niedorzeczności i z każdym rokiem pośpieszniej dziecinnieję. Tak każe obyczaj i jestem mu posłuszny. Toteż oburzeniem mnie napęlnia niewdzięczny protest i bunt przeciwko łaskawie ofiarowanym ci obowiązkom.

Przeszkodziłeś nam w uroczystej ceremonii, pozwolisz więc, że wrócimy do niej w miejscu, w którym nam przerwałeś.

Kogo żona opuści

Tego śmierć nie wypuści

Za życia – jak głaz z głazem

po śmierci za to razem.

(odchodzą, Sindbad biegnie do miejsca, gdzie ostatnio był z Kaskadą, ale jej tam nie ma, zaczyna jej szukać).

Sindbad: Kaskado, moja piękna Kaskado, gdzie jesteś?

(widzi Kaskadę na szczycie ogromnej skały)

Sindbad: Kaskado! Poniechaj swych obłądnych zamiarów! Powściągnij się, pohamuj! Okiełznaj żądzę złotu ze szczytu tej skały w paszczę śmierci, która czyha na ciebie!

Kaskada: Sindbadzie! Mężu mój i kochanku jedyny! Przebacz mi moje nieposłuszeństwo i mój upór! Nie mogę okiełznać tej straszliwej żądzę złotu.

Nie mogę jej powściągnąć ani pohamować! Coś mnie wlecze i ciągnie, i kusi, i pcha, i porywa, i zniewala do tego, abym się ze szczytu skały rzuciła gdziekolwiek, byle w przepaść, byle w śmierć, choćby ot, tam, do twoich stóp, na tę trawę niczyją.

Sindbad: Co czynisz bezrozumna! Jeśli mnie kochasz, znijdź żywa i ostrożna w me objęcia!

Kaskada: Nie mogę jej powściągnąć ani pohamować! Coś mnie wlecze i ciągnie, i kusi, i pcha, i porywa i zniewala do tego, abym się ze szczytu skały rzuciła gdziekolwiek, byle w przepaść, byle w śmierć, choćby ot, tam, do twoich stóp, na tę trawę niczyją.

Sindbad: Co czynisz bezrozumna! Jeśli mnie kochasz, znijdź żywa i ostrożna w me objęcia!

Kaskada: Nie mogę zejść, mogę się jeno rzucić, ani żywa, ani ostrożna, tylko martwa i nieogłębna! (*Rzuca się*)

(*Tymczasem zebrali się ludzie wracający z pogrzebu, biorą martwe ciało Kaskady, formułują nowy orszak rozpaczający. Sindbad podąża za nimi*).

Sindbad w podziemiach

Sindbad: Byle tylko nie zasnąć, nie ustać w tej ciemności. Będę szedł i biegł, i znowu szedł bez ustanku, aż traf lub przypadek przyjdą mi z pomocą, a zbieg okoliczności pozwoli mi w ten, lub w inny sposób wydostać się z podziemi na słońce.

(*Sindbad znajduje trumnę z napisem*). Czyta:

Rozbij szklaną trumnę uderzeniem pięści

A co ma się szczęścić, to ci się poszczęści.

(*Rozbija trumnę*)

Urgela: Tyś rozbił trumnę?

Sindbad (*po chwili*): Tak, rozbiłem twą trumnę odczytawszy napis na głazie.

Urgela: Należę przeto do ciebie, bom przyrzekła, że poślubię człowieka, który rozbije mą trumnę i przywróci życie memu ciału.

Sindbad: Dawno temu umarłaś?

Urgela: Nie umierałam nigdy.

Sindbad: Czy nigdy nie żyłaś na ziemi?

Urgela: Nie żyłam nigdy.

Sindbad: Powiedz, kim jesteś?

Urgela: Nie jestem, nie ma mnie wcale. Nie istnieję. Nie umiem istnieć. Umiem się tylko śnić tym, którzy są snu spragnieni. I oto teraz śnię się tobie. Śniłam się dawniej królowi Pawicowi, lecz tak go zmęczył ów sen, że kazał jakiemuś czarownikowi przyłapać mnie na gorącym uczynku zjawienia się we śnie i – przyłapaną – zamknął w szklanej trumnie. Wówczas wyśniłam napis na głazie. Obiecałam sobie w duchu poślubić tego, kto ów napis odczyta i trumnę rozbije. Poślubić znaczy dla mnie tyle, co śnić się. Będę się tobie śniła odtąd wiernie, posłusznie i dozgonnie. Będę ci we śnie grała na mojej lutni pieśni rozmaite. A lutnia moja jest dziwna – dość pieśnią, wzruszyć jej struny, aby żarzyły się blaskiem rozmaitym, który wszelkie mroki rozwidnia.

(*zaczyna grać*)

Urgela: Czy dobrze ci się śnię?

Sindbad: Dobrze.

Urgela: Czy zapominasz, że jestem tylko snem?

Sindbad: Zapominam.

Urgela: To znaczy, że śnię ci się dobrze. Idź za mną, a wyprowadzę cię z podziemi, aby ci się wywdzięczyć za to, żeś mnie z trumny wyzwolił.

(ida)

Sindbad: Czy pójdziesz ze mną do mojej ojczyzny?

O ile mnie bowiem wyprowadzisz z podziemia, wyruszę natychmiast do Bagdadu.

Urgela: Będę ci się śniła i w Bagdadzie, ale zniknę ci z oczu w chwili, gdy się wydostaniemy na powierzchnię ziemi.

Sindbad: Powiedz mi, jak ci na imię, abym mógł cię we śnie przywołać, ilekroć tego zapragnę.

Urgela: Nazywam się Urgela.

(Sindbad powtarza imię, aby je zapamiętać, wychodzą, Sindbad wsiada na statek, wraca do domu)

(W czasie powrotnym na statku Sindbad zasypia, słysząc unoszące się z jego snu dźwięki pieśni Urgeli).

Po utracie dziewcząt

(Wuj Tarabuk stoi oszołomiony, Sindbad wraca z podróży)

Sindbad: Dzień dobry, wuju! Wróciłem z dalekiej podróży, z krain nieznanych, rad jestem, że mogę cię uściskać!

Wuj Tarabuk: Ktokolwiek jesteś, zły duch czy przyjaciel, posadź mnie w fotelu, gdyż jestem tak zmęczony, jakbym tysiąc kilometrów przebiegł, a nie mam siły woli, której nakaz potrafiłby doprowadzić mnie do postawy siedzącej.

(Sindbad sadza go w fotelu)

Wuj Tarabuk: Tysiąckrotne dzięki.

Sindbad: Wuju! Czy nie poznajesz mnie? To ja, twój siostrzeniec Sindbad!

Wuj Tarabuk: Wierzę ci na słowo! aczkolwiek tysiąckroć wolę sprawdzić własnymi oczyma, sprawdzić tożsamość twojej osoby.

(przygląda mu się)

Poznaję cię! Poznaję, mój drogi Sindbadzie! Przybywasz właśnie w chwili, gdy nauczony gorzkim doświadczeniem mogę ci dać tysiące dobrych i cennych rad na przyszłość. Tysiąc razy trwalszy jest pergamin, tysiąc razy trwalszy jest papier niżli pamięć płochej dziewczyny! Jeśli kiedykolwiek tysiąc wierszy napiszesz, skreśl je na pergaminie lub papierze, lecz nie karbuj ich nigdy w pamięci dziewczyny!

Sindbad: Wuju! Co się stało? Mów prędzej, co się stało?

Wuj Tarabuk: Czemuż tak patrzysz we mnie, jakbyś miał tysiąc oczu we łbie? Pouciekały wszystkie! Tysiącu dziewcząt powierzyłem swe utwory i ani jedna z tego tysiąca nie dotrzymała mi co dzień składanej przysięgi! Tysiąc dziewcząt w tysiąc stron świata uciekło! A każda w pamięci swej porwała dziewięćset dziewięćdziesiąt dziewięć cudownie rymowanych utworów!

(Sindbad: Tysiąc bab z wozu koniom lżej!)

Tarabuk: Zostałem sam, bez tysiąca dziewcząt i bez moich dziewięćset dziewięćdziesięciu dziewięciu tysięcy moich arcydzieł!

Sindbad: Nie martw się drogi wuju! Pewien jestem, że straty te szybko uzupełnisz. Tymczasem opowieść o moich przygodach w zaklętych i czarodziejskich krainach przyniesie ci ulgę i pokrzepienie!

(Sindbad opowiada Tarabukowi, który jest coraz smutniejszy)

Wuj Tarabuk: Sindbadzie, tysiączny z ciebie chłop! Niestety, z twojej opowieści rozumiem jedynie tysiączne przez tysiączne! Pozostaje mi chyba tylko spać póty, póki się nie wyśpię i sił swoich po tysiąckroć nie wzmocnię do nowej pracy!

(Wuj Tarabuk zasypia, Sindbad podchodzi do ołtarzyka ze szkatułką, medytuje, pojawia się głos DiabłaMors.)

Sindbad: Jak śmiesz na oczy mi się pokazywać? Natręctwo twoje nie ma granic ni miary!

DiabełMorski: Nie gniewaj się na mnie! Postanowiłem nigdy nie kusić cię do podróży, lecz do innych zgoła czynów!

Sindbad: Do jakich?

DiabełMors.: Do błahych. Mianowicie pragnę cię zniewolić do tego, abyś po pierwsze: zabił we śnie Urgełę, po wtóre: zamordował na jawie wuja Tarabuka i po trzecie: śmiał się z tych dwóch czynów i we śnie i na jawie!

Sindbad: Zabiję cię, potworze przeklęty! Zabiję cię, zanim zdążysz powtórzyć te słowa zbrodnicze!

(zaczyna gonić DM)

DiabełMors.: Musisz zabić we śnie Urgełę, zamordować na jawie wuja Tarabuka i śmiać się z tych dwóch czynów na jawie i we śnie!

Sindbad: Pochwyć cię i zabiję, potworze!

DiabełMors.: Musisz zabić we śnie Urgełę, zamordować na jawie wuja Tarabuka i śmiać się z tych dwóch czynów na jawie i we śnie.

(Sindbad biegnie za głosem Diabła Mors. i wbiega na statek, już, już wydaje mu się, że schwytał Diabła, ale w dłoni zostaje mu tylko list)

NA STATKU

(Stary Marynarz zabiera list i czyta)

Stary Marynarz: Oho! Nie wiedziałem, że mamy na pokładzie takiego ptaszka, do którego sam DiabełMors. pisuje listy poufne! Jak ci na imię, czcigodny podróżniku?

Sindbad: Sindbad.

Stary Marynarz: Właśnie do Sindbada pisany jest ten list.

Sindbad: Nie zaprzeczam zgoła, że jest pisany do mnie.

Stary Marynarz: Niestety, kapitanie! Ów podróżnik, któremu na imię Sindbad, obarczył nasz pokład listem DiabłaMors.. Obecność tego listu na okręcie wróży klęski i nieszczęścia. Musimy się co prędzej pozbyć i listu, i jego właściciela. Ten ostatni, moim zdaniem, jest narzeczoną córki Diabła Morskiego.

Kapitan: Czy chcesz i możesz odeprzeć zarzuty, którymi cię obarczył stary i wytrawny marynarz?

Sindbad: Chcę i mogę! Nie jestem narzeczoną córki DiabłaMors., lecz ślepym narzędziem jego przebiegłych i natrętnych knowań. Przysięgam na miłość, jaką czuję do wuja Tarabuka, że Diabeł usidlił mnie w swych sieciach i z pomocą usilnej obelgi oraz udanej ucieczki sprowadził mnie na pokład waszego okrętu.

Kapitan: Czy masz jakiegokolwiek dowody na potwierdzenie prawdy tych słów?

Sindbad: Mam!

Kapitan: Słuchamy tedy.

Sindbad: Mam wprowadzić jeden dowód, ale za to niezbity.

Stary Marynarz: Cóż to za dowód?

Sindbad: Jedynym, ale niezbitym dowodem mej prawdomówności jest to, że goniąc w ślad za bezczelnym Diabełem nie zdążył się nawet pożegnać z wujem Tarabukiem dla tej właśnie przyczyny, iż nie zamierzałem zgoła udać się w jakąkolwiek podróż.

(załoga wybucha śmiechem)

Stary Marynarz: Koszałki-opałki! Kręty-wykręty! Dowody tego rodzaju w naszych oczach mają wartość opowiadań babuni dla grzecznych dzieci, z tą tylko różnicą, że zgoła niepodobny do babuni, my zaś nie jesteśmy grzecznymi dziećmi! Starego wróbla nie weźmiesz na plewy! Zanadto jestem stary i wytrawny, by zaufać byle wybiegom takiego jak ty, diabelskiego gagatka!

Kapitan: Rozkazuję list niezwłocznie rzucić do morza, tego podróżnika wyrzucicie za burtę, aby odplynał na pobliską wyspę bezludną, na której albo zginie z głodu, albo umrze z nadmiaru samotności, albo skona z powodu zbyt wyłącznego przebywania sam na sam ze sobą, ile że jest nasieniem diabelskim i obecnością swoją samemu sobie może śmiertelnie dokuczyć. (wyrzucają Sindbada za burtę)

U Tłuściocha (wyczerpany Sindbad dociera do pałacu Tłuściocha)

Sindbad (*głodny*): Oh! Głód mój jest tak wielki, że jeśli nie zjem czegoś natychmiast, skonam marnie na obcej wyspie i nigdy nie powrócę do mego kochanego wuja!

Tłuścioch: A bardzo mi przyjemnie ujrzeć znienacka w swym własnym pałacu gościa, poniekąd nieproszonego.

Sindbad: Jestem podróżnikiem, zbłąkanym wśród skał tej wyspy. Przypuszczam, iż na całej kuli ziemskiej nie ma człowieka głodniejszego ode mnie, który by jednocześnie wdychał nozdrzami tyle smakowitych a uroczych zapachów!

Tłuścioch: Jak to! Jesteś głody, i nikt cię dotąd nie nakarmił! Bój się Boga, człowieku marudny, czemuś wcześniej do mnie nie przyszedł. Musimy natychmiast zasiąść do tego oto stołu, który tkwi pośrodku komnaty.

(Zasiedli. Tłuścioch klaszcze w dłonie jakby na lokaja, w rzeczywistości nikt nie przychodzi).

Tłuścioch: Mój drogi Kalebasie, nakryj co prędzej do stołu, bo mam gościa, którego pragnę uraczyć doskonałym obiadem, tym bardziej, że nic mu nie brak prócz jedzenia.

Sindbad: [Zwariował? Czy głupie figle mu w głowie?] Stół już nakryty! Możemy teraz śmiało zażądać najwybredniejszych potraw! Nieprawdaż?

Tłuścioch: Poczciwy Kalebasie, przynieś nam pudełko sardynek w oliwie, jeno duchem, bo gość ma apetyt wilczy i śpieszno mu do zakąski.

Sindbad: Nie jestem znów tak głodny, abym nie mógł chwili jednej zaczekać!

Tłuścioch: Nie krępuj się, człowieku wstydlivy! Żądaj czego dusza twoja zapragnie! Uważaj mój dom za swój własny. Gościnność jest jedynym moim nałogiem. Ale otóż i sardynki zjawiły się już na stole. Błagam cię, człowieku wstrzemięźliwy, jedz, ile się zmieści! Czym chata bogata tym rada!

(udają, że jedzą)

Tłuścioch: Świeżutkie! Takich sardynek z pewnością nigdzie nie jadłeś.

Sindbad: Przewyborne!

Tłuścioch: Nie krępuj się człowieku niedobry i weź jeszcze, choćby kilka.

Sindbad: Już nie mogę, doprawdy nie mogę!

Tłuścioch: Wyrządzasz mi krzywdę i przykrość! Weź choćby jedną, tę najsuciej wykapaną w oliwie.

Sindbad: Wezmę tedy tę jedną pod warunkiem, że będzie ostatnia.

Tłuścioch: Kalebasie, podaj nam ... rosół z pasztecikami, wina i desery.

(po chwili):

Stół ugina się pod butelkami wina.

Pozwól więc, człowieku wybredny, że ci po brzegi wypełnię puchar najprzedniejszym winem.

(Sindbad udaje, że pije)

Tłuścioch: Widzę, żeś jednym tchem całą zawartość wychylił; pozwól, że ci doleję.

Sindbad: Nie chcę przebrać miary w picciu, bo chociaż łeb mam mocny, wszakże wino może mi w głowie zaszumieć, a wówczas... nie odpowiadam za własne postęпки.

Tłuścioch: Nie uchylaj się od picia, człowieku oględny! Ile wina w głowie, tyle prawdy w słowie! Albo, jeśli wolisz – ile wina w brzuchu, tyle mocy w duchu! Pij, złop, jeśliś chłop! Póki duch w tobie dycha, nie odsuwaj kielicha!

(piją, piją, piją)

Sindbad (udaje pijaka): Nazwałbym cię osłem, gdybyś nie był podobny do wieprza!

Tłuścioch: Widzę, żeś się spił nie na żarty! Miarkuję, że ledwo się na nogach trzymasz. Uprzedź mnie przynajmniej jakich zazwyczaj wybryków imasz się po pijanemu.

Sindbad: Bijam.

Tłuścioch: Bijasz?

Sindbad: Bijam.

Tłuścioch: Kogo?

(Sindbad rzuca się na Tłuściocha)

Tłuścioch: Puść mnie! Puść! Każę ci podać najprawdziwsze potrawy! Oddam ci za żonę moją córkę jedynaczkę wraz z połową mego majątku. Nie pozbawiaj mnie życia, które spędzam tak cudownie na doskonałej beczynności i na spożywaniu nieporównanych smakołyków!

(Tłuścioch wzywa prawdziwego sługę, daje mu szeptem zlecenia, pojawia się prawdziwe jedzenie, wchodzi gruba Stella.

Dosiada się do stołu, zaczyna podjadać).

Stella: Witaj ojcze.

Tłuścioch: Witaj córciu, poznaj mojego gościa. Sindbadzie, oto moja córka Stella.

Sindbad: Smacznego, Stello.

Stella: Smacznego, Sindbadzie.

Tłuścioch: Jest to cudzoziemiec, któremu z powodu rozmaitych okoliczności przyobiegałem twoją rękę. Czy nie masz nic przeciwko temu?

Stella: Nie mam nic przeciwko temu.

Tłuścioch: Pragnę, aby ślub wasz odbył się jutro. Czy zgadza się to z twoją wolą?

Stella: Niezupełnie... Wolałabym, aby nasz ślub odbył się dzisiaj.

Tłuścioch: Nie mam nic przeciwko temu.

Stella: Chciałabym jednak wiedzieć, jak się na mój pośpiech zapatruje ów miły ze wszech miar cudzoziemiec.

Sindbad: Nie mam nic przeciwko pośpiechowi.

(po jedzeniu pobierają się)

(Noc, Sindbad śpi, słysząc granie Urgeli. Stella nasłuchuje, nie może spać.)

Stella: Nie śpij! Nie śpij ty pijaku! Ty obżartuchu! *(budzi go szturchaniem)*

Stella: Cóż to za dźwięki dobywają się z twego snu?

Sindbad: To moja żona Urgela, pojawia mi się we śnie, gra na lutni, cudnie śpiewa!.

Stella: O! Ty masz żonę! Pijaku! Obżartuchu! Nie mogę pozwolić na to, aby twój sen zapełniała jakaś obca istota!

Sindbad: Urgela nie jest właściwie istotą, jest snem tylko. Nie istnieje, lecz śni się. Rozumiesz?

Stella: Nie rozumiem, nie chcę zrozumieć! Ciekawa jestem, co byś na to powiedział, gdybym komuś co noc się śniła i grywała mu na lutni złotej?! Nienawidzę tej Urgeli, muszę ją wypędzić z twego snu na wszystkie cztery wiatry!

Sindbad: Bój się Boga, Stello, jak możesz być zazdrosna o sen?

Stella: Jestem zazdrosna o sen, gdyż sama cierpię na bezsenność. Już ja coś wymyślę.

(Kolejna noc, Sindbad próbuje zasnąć, Stella szturcha go, budzi)

Stella: Ja spać nie mogę, więc i ty nie śpij!

Sindbad: Stello, błagam cię, pozwól mi się zdrzemnąć, choćby na okamgnienie!

Stella: Nie pozwolę!

Sindbad: Dlaczego?

Stella: Dlatego, że nie chcę, abyś widział we śnie Urgelę. Pragnę sama rządzić i opiekować się twym snem.

Sindbad: Czyż opieka żony na tym polega, aby mężowi odbierać sen i przyprawiać go o męczarnie nieznośne?

(Stella z księgą czarów, odprawia rytuał „wyciągnięcia” Urgeli ze snu Sindbada, Urgela ukazuje się)

Stella rzuca się na Urgelę, wrywa jej lutnię i wściekle łamie)

Urgela: Zabiła mnie, pozbawiając lutni! Nie dane mi umrzeć, bom nie żyła, tylko śniłam się ludziom, ale już odtąd nigdy nikomu przyśnić się nie wolno!

Sindbad: Coś ty narobiła! Coś ty narobiła! Gdzie jesteś kochana Urgelo?

(Sindbad oburzony wybiega z pałacu Stelli)

Stella: Zaczekaj mężu! Nie odchodź! Pozwolę ci teraz i spać, i drzemać, i śnić, kiedy tylko zechcesz. We dnie i w nocy. Nie odchodź! Zabraniam ci!

Staruch

(Sindbad nadal ucieka przed Stellą, gdy jest już daleko słyszy jęki)

Staruch: Ojoj-o-o-u. Nie mogę wstać, nie mogę wstać. Szedłem do strumienia, aby w nim pragnienie ugasić i upadłem w pół drogi. Nie mam sił! Nogi mi odmówiły posłuszeństwa. Ręce mi odmówiły pomocy! Któż się nade mną zlituje? Już wieczór nadszedł, wkrótce noc zapadnie, a ja niebogi nie ugaszę mego pragnienia.

Sindbad: Chętnie ci pomogę, ale nie wiem, jak ci mam dopomóc? W czym ci ze strumienia wody przynieść?

Staruch: Nie mam żadnego naczynia litościwy młodzieńcze, wszakże, jeśli chcesz naprawdę mi dopomóc, dam ci radę, jak to masz uczynić. Nachyl się ku mnie i weź mnie na barana. Jestem lekki jak piórko, więc ci nie zaciążę. Z łatwością mnie podźwigniesz, zaniesiesz do strumienia. Będę ci za to wdzięczny do grobu.

Sindbad: I owszem, dość jestem silny, abym podołał takiemu brzemieniu.

(Sindbad bierze Starucha na barana)

Staruch: Biegnij wprost przed siebie! Będę ci wskazywał drogę do strumienia!

(Idą, idą, idą)

Sindbad: Co tu robisz na tej wyspie, miły staruszk?

Staruch: Robię właściwie to co mi się podoba.

Sindbad: Piękna to odpowiedź, aczkolwiek niezupełnie określona.

Staruch: Dziękuj Bogu, żeś nie otrzymał gorszej.

Sindbad: Ofiarowałem ci mój grzbiet, a ty w zamian za to nie chcesz nawet uprzyjemnić mi zmudnej drogi przyjazną rozmową.

Staruch: A któż by to za grzbiet płacił rozmową? Nie tylko nie jestem ci wdzięczny, ale mam pewną urazę i nie mogę ukryć słusznego niezadowolenia.

Sindbad: Niezadowolenia?

Staruch: Ma się rozumieć. Idziesz dotąd stępa, nie umiesz kłusować, a na domiar złego, trzęsiesz się jak stara szkapa żołnierska! Miewałem lepszych od ciebie wierzchowców!

Sindbad: Wierzchowców?! Uważam tę nazwę na obrazę osobistą, a podróż naszą za skończoną! Złaż natychmiast z mego grzbietu!

Staruch: Wiedziałem, że jesteś znarowiony. Uspokój się i bądź posłuszny. Jesteś moim koniem, rozumiesz?

Sindbad *(próbuje go zrzucić)*: Koniem? Precz z mego grzbietu, nikczemny niewdzięczniku!

(Staruch go „poddusza” kolanami)

Staruch: Spokojnie, mój koniu, spokojnie! Nie brykaj i nie wierzgaj! Nie takich jak ty rumaków potrafiłem okiełznać!

Sindbad: Nie zwracaj uwagi na moje narowy, są to resztki samowoli, do której nawykłem gdy biegałem samopas. Pragnąłbym jednak wiedzieć, czy nie masz chwilami wrażenia, że jestem człowiekiem?

Staruch: Wio, wio! Co mi to za człowiek, który się pozwolił dosiąść, myśląc, iż spełnia czyn miłosierny. Jesteś koniem i basta! Wio, wio szkapo leniwa!

Sindbad: Byłbym ci niezmiernie wdzięczny, gdybyś mi wyznał, jakie uczucia masz w chwili, gdy mnie uderzasz po biodrach?

Staruch: Mam uczucia jeźdźca, który się niecierpliwi. Lubię jazdę dla samej jazdy, bieg dla samego biegu. Przyszedłem na świat po to, by ciążyć, by być brzemieniem - sprawia mi rozkosz chwila, gdy komuś zaciązę.

Sindbad: Czy lubisz ciążyć długo i bez miary, czy też umiarkowanie?

Staruch: Długo, bez miary.

Sindbad: Mam nadzieję, że wkrótce skierujesz mój bieg do swego domu i wypocznę w jakiegokolwiek stajni u jakiegokolwiek żłobu?

Staruch: Pozbądź się co prędzej tego typu nadziei. Nie mam żadnego domu, a tym bardziej stajni i żłobu. Nie zatrzymuję się nigdzie, nigdy, nie zatrzymuję się dopóty, dopóki sama śmierć nie zatrzyma mego rumaka.

(Sindbad wierzga)

- Nie brykaj kosiu, nie brykaj.

(biegną, biegną, w końcu Sindbad sięga po tykwę z winem – upija się, zaczyna skakać, śmiać się i śpiewać, np. fragmenty wierszy wuja Tarabuka!)

Staruch: Skądże ta wesołość w tobie, koniu mój smutny? Zazdroszczę ci tej wesołości. Nigdy w życiu nie śmiałem się i nie śpiewałem. Pragnąłbym nauczyć się śmiechu i śpiewu.

Sindbad: Nauka to łatwa i niedługa. Wypij jeno do dna zawartość tej tykwy, a natychmiast pozyskasz zdolność śmiechu i śpiewu.

(Staruch wypija, upija się i po chwili spada z karku Sindbada. Sindbad ucieka, po chwili zauważa kwiat, zrywa go, na łące spotyka młodzieńca, który nachylony szuka czegoś w trawie).

SEN OLBRZYMA

Młodzieniec: Szukam ciebie kwiecie płomienny, kwiecie ocknienia! Szukam ciebie, ale znaleźć nie mogę! Jakże mi sennie bez ciebie, jakże sennie! Jakże mi drętwo bez ciebie, jakże mi straszno! Oczy moje nic nie widzą, mogą tylko po omacku trafić na twój kielich. Sen we mnie..., sen... poza mną, sen... ponad mną! Sen... w pobliżu, sen... wokół, sen... wszędzie!

(Sindbad zbliża się do Młodzieńca, ten patrzy na niego, lecz nie widzi)

Sindbad: Czy słyszysz mój głos?

Młodzieniec: Słyszę twój głos, choć nie widzę twej postaci. Czy jesteś wrogiem czy przyjacielem tych, którzy są smutni?

Sindbad: Przyjacielem. Słyszałem twe narzekania, lecz nie mogłem ich zrozumieć. Widzę twą postać, słyszę twój głos, lecz nie wiem kim jesteś.

Młodzieniec: Jestem tym, który na ziemi nie zaznał nic prócz snu. Nadaremnie co rok odwiedzam tę wyspę! Nadaremnie szukam płomiennego kwiecia, którego dotyk obdarza ocknieniem! Oczy moje nigdy dotąd nie widziały jawy – jeno dźwięki i szумы i szelesty dochodzą mnie z tego świata, który jest rzeczywistością. Na północnym brzegu wyspy znajduje się gród zaklęty. Król tego grodu nazywa się Mirakles. Tysiące milionów lat temu Mirakles przybył na tę wyspę bezludną i znużony podróżą położył się i zasnął. I przyśnił mu się ogród olbrzymi i tysiące poddanych, i piękna królewna Chryzeida, i pałace, góry, i rzeki, i ptaki, i kwiaty, i zwierzęta. A cokolwiek śnił w sobie, do działo się na wyspie i dzieje się dotąd. Wszystko to znużone jest snem i spragnione od wieków gromadnego ocknienia! Od trzech tysięcy lat ja, paż królowy Chryzeydy, szukam zbawiennego kwiecia, którego dotyk zbudzi Miraklesa. O, kiedyż nareszcie obudzi się Miarkles, a my jego sny rozwiejemy się w nic, jak czynią sny innych ludzi!

Sindbad: Bądź dobrej myśli młodzieńcze wyśniony! Posiadam właśnie kwiat płomienny, którego szukasz. Prowadź mnie wprost do waszego grodu, abym mógł tym kwiatem dotknąć śpiącego króla i uwolnić czas wszystkich od jego męczących snów.

Młodzieniec: Błogosławiony dzień, w którym się spotkałem z tobą, niewidzialny przyjacielu. Idź za mną – zaprowadzę cię do zaklętego grodu, bo zgaduję drogę na niewidziane. Spieszmy się, gdyż każda chwila zwłoki przysparza bólu królewnie Chryzeidzie i jej sennym współrodakom.

(Wchodzą do błękitnego grodu)

Młodzieniec: Opuściła mnie już ślepotą, widzę wszystko prócz ciebie, gdyż nie jesteś snem króla Miraklesa *(dochodzą do rynku)*.

Tutaj wobec całej ludności ogłoszę wieść radosną

(bije w dzwony, zbiera się tłum, szepcząc)

Smutno nam! Tęskno nam! Dziwno nam!

Młodzieniec: Cieszcie się i radujcie, albowiem jest wśród nas człowiek, który ma w zanadrzu kwiat płomienny, kwiat ocknienia! Człowiek ten przyszedł tu w tym celu, aby zbudzić króla Miraklesa, obdarzyć nas możliwością rozwiania się i zniknięcia z powierzchni tej ziemi, jak to czynią sny innych ludzi!

- Niech przemówi do nas! Niech powie nam jak ma na imię!

Sindbad: Nazywam się Sindbad! Kwiat ocknienia żarzy się na piersi, w zanadrzu. Namyślałam się jednak nad tym, czy mam dotknąć śpiącego króla i obudzić go z cudownego snu. Jesteście zbyt piękni, abym chciał się przyczynić do waszego zniknięcia!

Tłum: Smutno nam! Tęskno nam! Dziwno nam!

Sindbad: Ludzie zakłęci, ludzie wyśnieni! Chętnie spełnię wasze odwieczne życzenie, o ile potwierdzi je piękna królewna Chryzeida.

Królewna Chryzeida: Sindbadzie, uczyni to, o co cię błaga ludność tego grodu. Jesteśmy zbyt zmęczeni długim snem króla Miraklesa i naszą ślepotą na wszelką rzeczywistość. Nie widzę ciebie Sindbadzie, lecz słyszę twój głos śpiewny i kocham cię za śpiewność twego głosu. Chętnie bym poślubiła ciebie, niewidzialnego, lecz spieszno mi do rozwiania się w nic i do zniknięcia i do spoczynku!

Tłum: Spieszno nam...! Spieszno nam! Spieszno nam!

Królewna Chryzeida: Idź za mną na brzeg, gdzie od wieków śpi król Mirakles i dotknij go kwiatem płomiennym!

(biegnie naprzód, ciągnie z sobą Sindbada)

Sindbad: Królewno, pomyśl co cię czeka! Przestaniesz istnieć i nigdy cię nie będzie! Kocham cię i chcę cię poślubić. Wprowadzę cię do świata rzeczywistego, do prawdziwych pałaców i ogrodów!

Królewna Chryzeida: Nie zobaczę tych cudów, które mi obiecujesz – oczy moje są ślepe na wszelką rzeczywistość. Czyż nie rozumiesz, co to za męka płakać w chwili, gdy Mirakles płacze, wzdychać, kiedy on wzdycha, śmiać się, kiedy on się na widok swych snów uśmiecha! O, pozwól nam zniknąć i przestać być snem tego króla! *(wszyscy nagle płaczą)*

Królewna Chryzeida: Zbudź go! Zbudź go!

Tłumy: Zbudź go! Zbudź go! Zbudź go!

(Sindbad wyjmuje kwiat i dotyka króla Miraklesa, wszyscy znikają. Mirakles wzdycha, przewraca się na drugi bok i zasypia znowu)

Króla Mirakles:

Jakże długo spałem. Śnił mi się jakiś sen błękitny, lecz kędy się podział ów sen? Gdzie jest królewna Chryzeida? Gdzie są pałace błękitne? Wszystko znikło bez śladów.

Położę się na brzegu swej wyspy i zasnę innym snem. Po śnie błękitnym chcę mieć sen purpurowy!

Sindbad(*obserwuje go z daleka*): Wracam do Bagdadu.

BAGDAD

Tarabuk, Sindbad, Chińczyk

(Sindbad wpada do pałacu, na widok wytatuowanego wuja staje „jak wryty”)

Sindbad: Kim jesteś człowieku o nieludzkim wyglądzie?

Tarabuk: Jestem twoim rodzonym wujem.

Sindbad: Nie wierzę.

Tarabuk: Powinszuj mi, powinszuj mi nowego wynalazku. Wpadłem na zgoła nowy pomysł utrwalania mych utworów. Nie mogę ich bowiem powierzyć ani papierom, ani pergaminom, ani zawodnej pamięci zdrażliwych dziewcząt. Jedyńm człowiekiem, któremu mogę je powierzyć, jestem ja sam we własnej osobie. Spójrz na mnie – czyliż nie wyglądam jak przystoi wielkiemu poecie? Cały mój dobytek duchowy mam na własnym ciele. Skóra moja – to notes, który tylko śmierć zniszczyć może. Widzę po twoich oczach, że jesteś ciekawy mego pomysłu, otóż natychmiast zaspokoję twoją ciekawość. Dzięki szczęśliwemu trafowi spotkałem w Bagdadzie Chińczyka, który posiada sztukę tatuowania. Chińczyk ten w przeciągu krótkiego czasu upstrzył mi skórę tak drobnymi literami, że tylko przez lupę można je odczytać. Nikt mnie teraz nie pozbawi mych dzieł. Stałem się oto w jednej osobie – autorem i książką. Jestem jedynym wydaniem mych własnych dzieł – jedynym na świecie człowiekiem, którego duszę można w każdej chwili odczytać, ma się rozumieć przez lupę.

Sindbad: O! Czyżem przypuszczał, że mam takiego wuja, który z bliska jest wspaniałą księgą, a z daleka doskonałym Murzynem?

(z płaczem rzuca się w objęcia Tarabuka)

Tarabuk: Ostrożnie, ostrożnie! Wyrzekłbym się ciebie na wieki, gdybyś mi starł wargami choćby jedną literkę! Policzki moje, które zaniepokoiłeś pocałunkami, są miejscem spełnionego cudu. Na prawym policzku mam poemat pt. „Zaloty”, a na lewym – dramat pt. „Cios dotkliwy”. Na jednej z mych dłoni tkwi wiersz ulotny pt. „Dzień dobry”, a na drugiej – elegia wieczorna pt. „Do widzenia”. Na plecach mam prawdziwe arcydzieło – utwór buńczuczny, zawadiacki i zuchwały pt. „Naprzód”. Czuję się niby żywa księga i łóżko moje uważam za bibliotekę! Jeśli jesteś ciekaw zawartości tej księgi – weź do rąk lupę i czytaj!

Sindbad: Jeśli wuj pozwoli odłożę czytanie na potem, tymczasem muszę zauważyć, iż utrwalenie własnych na własnej skórze – pomimo wielu przewag i zalet – ma jedną niezaprzeczoną wadę, mianowicie – utwory te giną dla potomności z chwilą śmierci samego autora.

Tarabuk: Pomyślałem już o tym i znalazłem sposób uniknięcia tak bolesnej dla potomności straty. Oto postanowiłem przekazać ci w testamencie prawo przedruku na twojej własnej skórze.

Sindbad: Co? Na mojej własnej skórze? Mogę uznać tatuowanego wuja, ale nie mogę i nie chcę być tatuowanym siostrzeńcem!

(wchodzi Chińczyk)

Tarabuk: Oto jest mój znawca i dobrodziej!

(Chińczyk kłania się Sindbadowi, przygląda się mu)

Chińczyk (do Tarabuka): Zdatny, najzupełniej zdatny... Z przyjemnością będę go tatuował. Jest to godny ciebie spadkobierca.

Tarabuk: Drogi Sindbadzie, to nie koniec niezwykłych nowin. Skarby twoje i majątki zastałeś w całości. Zginał tylko ząb trzonowy twojego pradziada. Złodziej w nocy wdarł się do pałacu, lecz nie zdążył ukraść nic, prócz szkatułki hebanowej ze zbolałym zębem twego pradziada. Ale nie martw się mój drogi! Kolejna nowina na pewno uraduje cię i wprawi w dobry humor. Postanowiłem wyruszyć w podróż razem z tobą. Uczony Chińczyk będzie nam towarzyszył. Chciałbym to uczynić jak najprędzej. Kiedy zamierzasz opuścić Bagdad?

Sindbad: Jestem gotów odjechać choćby dziś jeszcze. Żądza podróży stała się moim nałogiem. W Bagdadzie nie widuję nikogo prócz ciebie i Chińczyka. Tam zaś, w krajach nieznanach, na każdej wyspie rozkwita inna baśń, w każdej baśni przebywa inna królewna.

Tarabuk: Poślubię najpiękniejszą królewnę i zostanę królem zaklętej wyspy. Co myślisz o tym, Sindbadzie?

Sindbad: Myślę, że królowanie na wyspie zaklętej byłoby dla wuja najodpowiedniejszym zajęciem.

Tarabuk: A więc jutro opuszczamy Bagdad.

(Noc, wszyscy zasypiają, Sindbadowi śni się Diab.Mors.)

Sindbad: Czemu się śmiesz?

Diab.Morski: śmieję się dlatego, że jest mi wesoło, a jest mi wesoło z tej przyczyny, że wuj Tarabuk wybrał się nareszcie w podróż. Właśnie jego tylko osoby brakowało na wyspach zaklętych!

Sindbad: Nie obrażaj mego wuja! Jest on w każdym razie poetą!

Diab.Mors.: Nie lubię go, jest on za nudny i za śmieszny. Lubię za to ciebie Sindbadzie, bo chętnie zwiedzasz kraje nieznanne i masz duszę pełną rozmaitych baśni. Pozwól, że na dowód przyjaźni uścisknę cię z całych sił!

(zmienia się w węża i oplata Sindbada)

Wuj Tarabuk (budzi Sindbada): Wstawaj prędzej! Jedziemy! Już czas! Jedziemy! Już od godziny budzę ciebie i dobudzić nie mogę. Jęczysz i stękasz przez sen, jakby ci się przyśniła kara cielesna. Wstawaj! Nie mamy ani chwili czasu do stracenia. Wyobrażam sobie, z jaką niecierpliwością zaklęta królewna wyczekuje mego przyjazdu! Jedziemy natychmiast!

NA STATKU.CZARNOKSIEŻNIK BARBEL

(Sindbad wstaje, dochodzą do okrętu. Sindbad i Chińczyk wsiadają, w ręce Tarabuka wpada list)

Sindbad: Wuju! Nie bierz tego rękopisu!

Wuj Tarabuk: To mój rękopis! Mój cudowny wiersz, który niegdyś w morzu utonął. Błogosławiony potwór, który mi zwraca tak drogocenną zgubę!

(wsiada z listem na statek)

Sindbad: Wrzuć ten list z powrotem do morza!

Tarabuk: Nie głupim! Nie wyrzucę go ani nie schowam dopóty, dopóki nie odczytam mego utworu, który już zapomniałem. Największą dla mnie rozkoszą jest przypomnienie zapomnianego wiersza.

(Czyta: Morze to nie rzeka, a ptak – to nie koza,

Szczęśliwy kto kocha rymowane słowa,

itd.

Podchodzi Stary Wytrawny Marynarz, odczytuje list z drugiej strony).

Stary Marynarz: Zwalczaj wszelkie przeszkody i wszelkie zawady! Pędź, leć, pływ bez ustanku! Posłuchaj mej rady! Tego ci życzy, ukłon przesyłając dworski, Kochający cię szczerze – twój druh

Diabeł Morski.

Stary Marynarz: A to co? List Diabła Morskiego na naszym pokładzie?

Tarabuk: Nie przeszkadzaj mi czytać, Stary marynarzu!

Stary Marynarz: Jesteś synem diablicy i orangutana! Znam ja się na takich mieszańcach!

Tarabuk: Jak śmiesz, zwykły śmiertelniku! Jestem poetą!

Stary Marynarz: Syn diablicy i orangutana! Biada nam! W jego dłoni tkwi przeklęty list Diabła Morskiego! Obecność tego listu na okręcie wróży klęski i nieszczęście. Kapitanie, radzę ci tego potwora wraz z listem wrzucić natychmiast do morza!

Marynarz: Do morza! Do morza!

Tarabuk: Nie jestem synem diablicy i orangutana, ale poetą! Precz z moich oczu, marny tłumie, który nie umie uczyć i ocenić wielkiego poety. zamiast na klęczkach dziękować mi za moją obecność na okręcie, chcesz mnie, marny tłumie, wrzucić do morza?

Załoga: Do morza! Do morza!

(chwytają wuja Tarabuka i chcą wyrzucić za burtę)

Sindbad: Nie pozwolę temu człowiekowi nic złego uczynić! Jest to mój wuj, którego żadne więzy pokrewieństwa nie łączą z diablicą lub orangutanem!

Chińczyk: Jest to wielki poeta i mój przyjaciel!

Stary Marynarz: Tym gorzej dla was obydwu. Wrzucimy was z nim razem do morza!

Załoga: Do morza z nimi! Do morza!

(już prawie ich wyrzucają, wtem pojawia się czarnoksiężnik Barbel)

Kapitan: Bacność! Zbliży się do nas okrutny czarnoksiężnik Barbel. Napada on na zbłąkane okręty i bierze w niewolę załogi. Za chwilę czeka nas walka z czarownikiem! Musicie wiedzieć, że jego wzrok jest straszny, biada temu, kto stchórzy i nie zmiółszy tego wzroku odwróci się tyłem do Barbela. W takiej chwili Barbel natychmiast wejdzie na pokład i uprowadzi nas w niewolę!

Sindbad (*do Tarabuka*): Słyszysz? Cała sztuka polega na tym, żeby patrzeć mu prosto w oczy i nie odwracać się do niego plecami. czy wytrzymasz jego wzrok?

Wuj Tarabuk: Mam nadzieję, iż wytrzymam.

Kapitan: Panowie! Mam nadzieję, że nikt z was nie stchórzy. Ustawcie się tak, aby patrzeć okrutnemu Barbelowi wprost w jego przeraźliwe źrenice.

(ustawiają się i patrzą Barbelowi prosto w oczy)

Kapitan: Panowie! Stójcie odważnie w miejscu i nie odwracajcie się tyłem do Barbela!

Wuj Tarabuk: Sindbadzie! Nie masz pojęcia, do jakiego stopnia chce mi się plecami odwrócić do Barbela!

Sindbad: Na Boga! Bądź mężny, wuju! Patrz mu prosto w oczy! Jeśli nie wytrzymasz i tyłem się do niego odwrócisz, czeka nas zguba i hańba!

Wuj Tarabuk: Zdaje mi się, że nie wytrzymam...

Sindbad: Wuju! Uzbrój się w odwagę!

Wuj Tarabuk: Zbroję się...

Kapitan: Naprzód!

(wszyscy ruszyli, oprócz wuja Tarabuka)

Sindbad: Wuju! Na litość Boga, zrób krok naprzód!

Wuj Tarabuk: O, niedomyślny! Nie rozumiesz komendy kapitana „Naprzód”? Wszakże to tytuł poematu, który mam właśnie na plecach! Toteż pojmuję komendę kapitana w ten sposób, że powinienem do straszliwego Barbela odwrócić się plecami, źle że na nich istnieje ów tytuł.

Sindbad: Na miłość Boską, wuju! Nie czyn tego! Zgubisz nas wszystkich, zniesławisz swe imię, gdyż cię potępią jako tchórze!

Wuj Tarabuk: Trudno! Nie mogę dłużej wytrzymać wzroku tego potwornego czarodzieja!

Kapitan: Naprzód!

(wuj Tarabuk odwraca się tyłem, czarodziej atakuje go, załoga ucieka, Sindbad i Chińczyk próbują ratować wuja Tarabuka, wszyscy dostają się w niewolę Barbela).

(załoga ucieka z okrzykami: Potwór! Tchórz! Zdrajca! Diabeł!)

Barbel: Od tej chwili jesteście moimi niewolnikami. Jestem panem waszego życia i śmierci! Przeniosą was z pomocą zaklęcia do mego pałacu. W ciągu jednej minuty będziecie na miejscu

(wymawia zaklęcie i przenosi ich do swego pałacu)

Trzy królewny

W pałacu Barbela

(trzy królowny leżą na swoich otomanach)

Barbel: Spójrzcie na te trzy królowny, które leżą na otomanach. Są one piękne, ale nieruchome. Sen, podobny do snu wiekuistego, obezwładnił ich ciała. Powołać je do życia można tylko z pomocą tańca. Czy słyszycie muzykę cudowną, która dobywa się z głębi płonącego na trójnogu ognia? Trzem królownom brak jest trzech tancerzy i dlatego tu spoczywają na otomanach – nieruchome, drętwe i nieżywe. Porwałem was w tym celu, abyście spełniali przy królownach czynność wiernych tancerzy. Zbliżcie się do nich i zaproszcie je do tańca, a natychmiast ożyją i powstają, i wesprą się na waszych ramionach, aby wespół z wami wirować w tańcu zaklętym.

Wuj Tarabuk: Czynność tancerza zgoła nie odpowiada powadze mego wieku. Wymawiam ci tedy posłuszeństwo, potworny Barbelu.

Barbel: Jesteś niewolnikiem, należysz do mnie. Musisz więc spełniać moje rozkazy.

Wuj Tarabuk: Jestem poetą, a nie niewolnikiem! Nie masz prawa wymagać ode mnie zaklętego tańca!

Barbel: Zmuszę cię do tańca!

Sindbad: Wuju! Nie ściągaj nowych klęsk na nasze głowy!

Wuj Tarabuk: Nie zmusisz mnie nigdy, potworny Barbelu do czynności, które nie mają nic wspólnego z moim powołaniem! Jestem nie tylko poetą, ale i księgą, która ujrziała światło dzienne po to, aby ją czytano, nie zaś zmuszano do jakiegoś tam zaklętego tańca! Nie będą tańczył i kwita.

(Barbel wpada we wściekłość, zaczyna okładać plecy Tarabuka różgą).

Barbel: Powiedz mi teraz, czy będziesz tańczył, czy nie?!

Tarabuk (do Chińczyka): Przyjacielu, spójrz przez lupę na moje nieszczęsne plecy i zobacz, czy podły czarnoksiężnik nie popsuł uderzeniami mego poematu „Naprzód”?

(Chińczyk ogląda plecy wuja)

Chińczyk: Niestety! Poemat stał się nieczytelny! Litery znikły pod natłokiem sińców, pręg, skaz, szram! Jeden czy brutalny zniweczył pracę długoletniego natchnienia.

Tarabuk: O przeklęty czarnoksiężniku! Niech kara Boża spadnie na ciebie!

Barbel: Jeżeli nie będziesz posłuszny moim rozkazom, postaram się o nieczytelność reszty twych utworów!

Tarabuk: Będę tańczył! Będę tańczył aż do upadłego! Uczynię ze siebie ofiarę dla ocalenia utworów, które zasługują na nieśmiertelność. Niestety, jestem jedynym wydaniem moich własnych dzieł, nie mogę tedy narażać siebie na tego rodzaju niebezpieczeństwo i na tego rodzaju straty nieodżałowane!

(na znak Barbela podchodzą do królewien: Tarabuk do zielonej, Chińczyk do złotej, Sindbad do błękitnej, zaczęli tańczyć)

Barbel: Płasajcie, płasajcie! Płasajcie aż do upadłego, a ja tymczasem wyruszę, aby zdobyć innych niewolników, którzy by was zastąpili w razie, jeśli skonacie ze zmęczenia.

(tańczą, coraz bardziej zmęczeni)

Tarabuk: Dość tego tańca! Dość tego tańca! Czarnoksiężnik wyszedł, więc śmiało możemy zaprzestać żmudnego wirowania i wypocząć.

Sindbad i Chińczyk: O tak! Przerwijmy ten taniec zaklęty!

(próbują przestać, niestety bez skutku)

Tarabuk: Niestety! Zdaje mi się, iż mi sędzono przetańczyć krótką resztę mego żywota! Czuję, że będę tańczył aż do śmierci, która nastąpi wkrótce wskutek wycieńczenia!

Chińczyk: O tak, o tak! Wszystko w tym pałacu jest zaklęte, poczynając od tancerek, a kończąc na rytmie muzyki, która swym czarem nieodpartym opętała nasze dusze i nogi!

Królewna Zielona: Tancerzu mój, tancerzu! Wiedz o tym, że tańczysz z wierzbą płaczącą, którą czarnoksiężnik zaklął w królownę. Trzymasz w objęciach wierzbę płaczącą! Niech będzie pochwalony wszelki płacz na ziemi!

Królewna Błękitna: Tancerzu mój, tancerzu! Wiedz o tym, że tańczysz ze strumieniem zaklętym w królownę! Trzymasz w objęciu strumień! Niech będzie pochwalony wszelki szmer wody w sitowiu!

Królewna Złota: Tancerzu mój, tancerzu! Wiedz o tym, że tańczysz ze złotą rybką, zaklętą w królownę! Trzymasz w objęciu złotą rybkę! Niech będzie pochwalony wszelki plusk fali!

Wuj Tarabuk: Jestem poetą i nic nie mam przeciw temu, aby trzymać w objęciach wierzbę płaczącą, byłbym jednak rad, gdybyś zechciała piękna tancerko, odsłonić tajemnicę tego, co się dzieje w tej komnacie zaczarowanej.

Królewna Zielona: Opowiem ci, wszystko opowiem! W miejscu gdzie teraz tańczymy, była niegdyś dolina kwiecista. W dolinie płynął strumień. W głębi strumienia mieszkała rybka złota, a nad brzegiem strumienia szumiała wierzba płacząca. Przyszedł pewnego razu czarnoksiężnik Barbel... *(zabrakło jej tchu)*

Królewna Złota: Przyszedł pewnego razu czarnoksiężnik Barbel. Spojrzał Barbel na strumień i na wierzbę płaczącą, i na rybkę złotą, która podpłynęła właśnie do brzegu. Barbel nigdy nikogo nie kochał...

Królewna Błękitna: Barbel nigdy nikogo nie kochał. Nic go na ziemi nie zachwycało prócz widoków natury. Stał nad brzegiem strumienia i tak długo patrzył, aż się zakochał w strumieniu i wierzbie płaczącej, i złotej rybce. I rzekł: „Muszę, ach muszę!”...

Królewna Zielona: I rzekł: „Muszę, ach muszę mieć w swoim pałacu strumień i wierzbę płaczącą, i złotą rybkę!” I postanowił nas zakląć w trzy królewny, aby móc z nami rozmawiać, jak się rozmawia z ludźmi. I wyszeptał zaklęcie...

Królewna Złota: I wyszeptał zaklęcie i przeobraził nas w trzy królewny. Lecz nadaremnie czarnoksiężnik wyczekiwał naszych spojrzeń i westchnień! Leżałyśmy bez ruchu niby martwe, niby nieżywe. Wówczas zapalił na trójnogu ogień tajemniczy, który napełnił dźwiękami zakłętej muzyki. Po czym sprowadził nam trzech tancerzy i rozkazał im tańczyć z nami aż do upadłego, aby tym sposobem zmusić nas do pozbycia się martwoty i bezruchu. Tańczyłyśmy tak długo, aż tancerze nasi skonali ze zmęczenia, wówczas czarnoksiężnik...

Królewna Zielona: Wówczas czarnoksiężnik sprowadził nam innych tancerzy. Odtąd życie nasze stało się nieustannym, pełnym męki tańcem. O, gdybyś wiedział mój tancerzu przygodny, jak ciężko jest i boleśnie wierzbie płaczącej dźwigać brzemię powłoki ludzkiej!

Królewna Złota: I jak smutno złotej rybce taić się wciąż pod postacią królewny.

Królewna Błękitna: I jak ciasno strumieniowi w tych zwiewnych szatach, które zdobią moją kibić!

Królewna Zielona: Jest jednak sposób pozbycia się tańca i zniweczenia czarów, które nas wiążą! Trzeba tylko w czasie tańca zbliżyć się do trójnoga i zdmuchnąć płonący na nim ogień. Wówczas pałac zmieni się w dolinę, a ja – w wierzbę płaczącą!

Królewna Błękitna: A ja – w strumień!

Królewna Złota: A ja – w rybkę złotą!

Królewna Zielona: Gdy się to stanie, czarnoksiężnik natychmiast przybiegnie nad brzeg strumienia i zarzuci wędkę, aby złowić złotą rybkę. Tak bowiem chce przeznaczenie, że aby nas ponownie w trzy królewny zakląć, musi pierwszy złotą rybkę złowić.

Królewna Błękitna: Muszę was uprzedzić, że tajemnica życia czarnoksiężnika tai się na końcu wędki. Dość ów koniec złamać, aby Barbel istnieć przestał!

Królewna Złota: Któż jednak potrafi dmuchnąć tak mocno, aby zgasić ogień zaklęty? Dotąd żaden z tancerzy nie potrafił tego uczynić!

Królewna Złota i Błękitna: Zdmuchnijcie ogień zaklęty! Zdmuchnijcie ogień zaklęty!

Sindbad: O piękne królewny, nadchodzi kres waszych cierpień. Zdmuchnę dla was ogień zaklęty.

(próbuje, bez skutku)

Chińczyk: I ja spróbuję! *(dmucha, bez skutku)*

Wuj Tarabuk: Teraz na mnie kolej! *(zdmuchuje ogień)*

Czary znikają

Chińczyk: Panowie! Ukryjmy się szybko, bo mściwy czarnoksiężnik lada chwila nadejść może!

(w tej chwili jawia się zapłakany Barbel)

Barbel: Niedługo nacieszycie się wolnością...(z wędką, siada nad strumieniem. Chińczyk skrada się do wędkę i łamie jej końcówkę, Barbel umiera)

Chińczyk: Jesteśmy zbawieni! Uchodźmy prędzej z tej wyspy, gdzie na każdym kroku czyha na nas niebezpieczeństwo!

.(wpadają na statek)

NA STATKU

Barabakasentoryna: Mili panowie, może zechcielibyście pomóc samotnej kobiecie wtaszczyć ten ogromny kufer na pokład. Ten kufer to jedyna pamiątka po moim świętej pamięci mężu – kupcu perskim.

Sindbad: Ależ oczywiście!

(Tarabuk wpatrzony z zachwytem w Barabakasentorynę, Sindbad zauważa na pokładzie Arhelę)

Sindbad: Piękna dziewczyno! Pragnę zadać ci dwa pytania: pierwsze – jak ci na imię? drugie – czy zostaniesz moją żoną?

Arhela: Na mię mi Arhela. A twoją żoną zostanę z przyjemnością.

Sindbad: Wuju Tarabuku! Jestem najszczęśliwszym z ludzi! Oświadczyłem się Arheli i zostałem przyjęty! Widzę, że oczarowała cię napotkana prze chwilą dama, nie zwlekaj więc ani chwili i poproś ją o rękę.

Tarabuk: O! pełna czaru nieznajoma...

Barabakasentoryna: Barabakasentoryno...

Tarabuk: Barabakasentoryno, czy zechcesz wyjść za mnie?

Barabakasentoryna: Zgodziłabym się na ożenek, ale pod warunkiem, że zmyjesz z twarzy te czarne cętki, które cię szpecą i czynią podobnym do Murzyna.

Tarabuk: O Barabakasentoryno! Te czarne cętki są literami, które wiążą się w słowa cudowne! Wiedz, że na powierzchni mego ciała kazał wydrukować moje poematy, jestem bowiem poetą. Będziesz miała więc we mnie męża i książkę do czytania.

Barabakasentoryna: Nie znoszę książek i nigdy ich nie czytam. Nie cofnę mego warunku. Jeśli chcesz mnie posiadać, musisz zmyć z twarzy ten druk przebrzydły.

Tarabuk: O Barabakasentoryno! Kocham cię nad życie i zrobiłbym wszystko, byle tylko nazwać cię żoną. Prawdziwy poeta może przezwyciężyć wszystko prócz miłości! Nie wiem jednak, czym mogę zmyć ten druk, który nazywasz przebrzydłym?

Barabakasentoryna: Mam zioła, których wywar zmywa wszelkie plamy. Dam ci je natychmiast, abyś jeszcze w czasie podróży wykonał mój warunek.

(Tarabuk bierze zioła, po chwili wraca czysty)

Barabakasentoryna: Jesteś teraz tak piękny, że nie mogę odmówić ci mojej ręki!
(rozpoczynają się uroczystości weselne)

Po ślubie

(Siedzą w pokoju, przy telewizorze)

Tarabuk: Moja droga Barabakasentoryńciu! Przynoszę ci tu wierszyk, abyś go mogła zawczasu zniszczyć!

Barabakasentoryna drze wiersz, wciąga w odkurzaczy

Barabakasentoryna: Dziękuję ci. Nic nie sprawia mi takiej rozkoszy jak niszczenie wierszy...
(całują się)

Arhela: Sindbadzie, kochanie, zmień proszę kanał, mój ojciec – słynny podróżnik zanudzał mnie opowieściami o swoich podróżach. Znam na pamięć te opowieści o zaklętych królewnach, czarodziejach i niezwykłych krainach. Poszukaj, może znajdziesz jakiś program kulinarny...

Sindbad: Dobrze, kochanie...

Arhela: Ale nie tęsknisz chyba do tych zwariowanych przygod?

Sindbad: Diabeł Morski Już mnie nie nawiedza we śnie i nie kusi do podróży, ponieważ stałem się człowiekiem żonatym i poważnym. (całują się)

ŻYLI DŁUGO I... SZCZĘŚLIWIE.

PIEŚŃ MARYNARZY

W CHMUR ODBICIU

W chmur odbiciu – śpią żółwie...

Woda z niebem – coś snuje i wspólnie –

Tą współwiedzą drżą liście,

Kwiaty o niej ziołom dają znać.

W ciszę kwiatów i ziół tych

Purpurowych, zielonych i żółtych

Słońce wsącza plamiście

Bystrych światłał rozbryzganą rzadź.

Konie maści obłocznej

Mkną wzdłuż mrzonek alei ubocznej.

Zaświat stoi –otworem,

Byle minąć zgróź kilka i debrz.
Bóg je minął...Lecz dokąd
Płynie chmury żaglisty wielokąt?
Czar się zaśmiał za borem,
A ty –drogo –i złoć się i srebrz!

Świat raz jeszcze ustala
Swoją stosunek do mgły i korala...
Żadna mgła się nie dowie,
Ile było koralowych prób?
Komuż niebyt się uda?
Powiedz słowo.- Toć mówię:"Utruda".-
Powiedz drugie!- "Błędowie".-
Powiedz trzecie!- "Trzecie słowo –grób!-

Pogrzebane w mgłach- losy!
Trzeba zmyśleć raz jeszcze niebiosy...
Chwiej się, cieniu, i zwiastuj
Śmierć- dziewczynie wśród pieszczot i głusz.
Wieczór płonął zgasićcie ,
Gdy umarła –niepewnie i mgliście...
Popłoch kwiatów –widm zastój –
Zgon wierzących w naszą jawę zórz.

Liść się odbił na fali
Tak, że właśnie – im bliżej, tym dalej...
Wzrok rozróżnić nie może
Bliskiej wody od dalekich snów...
W cieniu głogów i leszczyn
Chcę pomyśleć, czym słońca jest –bezczyń?
Świat się sprawdza w jeziorze...
Nie ma świata! –Nie było! – Jest – znów! -